

NR 1-2/2024

SKALPEL

BIULETYN WOJSKOWEJ IZBY LEKARSKIEJ
ISSN 1230-493x

W NUMERZE:

Recordatio et Facetiae
Pole owsa, pole ryżu, pole-miki
Pamiętnik z Domku Pilota cz. 6



17. KONFERENCJA NAUKOWO-SZKOLENIOWA DLA LEKARZY DENTYSTÓW

Organizowana przez Komisję Stomatologiczną
Wojskowej Izby Lekarskiej

www.17konferencjawil.pl

HOTEL ORLE,
WYSPA SOBIESZEWSKA
9-12 MAJA 2024

Szczegółowy plan konferencji oraz formularz rejestracyjny
znajduje się na: www.17konferencjawil.pl

Już po raz 17. zapraszamy na konferencję organizowaną przez Komisję Stomatologiczną Wojskowej Izby Lekarskiej. W konferencji udział może wziąć każdy lekarz dentysta, niekoniecznie należący do Wojskowej Izby Lekarskiej. Program naukowy jest przygotowany tak, aby każdy wyjechał mądrzejszy o zdobytą wiedzę. Jest to też wspaniała okazja do integracji naszego środowiska. Chcielibyśmy aby w konferencji wzięło udział jak najwięcej lekarzy dentystów, członków WIL. Za uczestnictwo w spotkaniu przysługują punkty edukacyjne.

W tym roku zdecydowaliśmy się na inną lokalizację – Wyspę Sobieszewską – którą także znamy, bo gościliśmy już tam z naszymi konferencjami. Serdecznie zapraszam wszystkie koleżanki i kolegów.

Komisja Stomatologiczna Wojskowej Izby Lekarskiej

SZCZEGÓŁY I REJESTRACJA:

ALEKSANDRA KOWALIŃSKA

TEL. 509 912 963

prenumerata@spsmedia.pl

WOJSKOWA IZBA LEKARSKA
NOWY GABINET STOMATOLOGICZNY
BIULETYN WOJSKOWEJ IZBY LEKARSKIEJ SKALPEL



nowy
gabinet
stomatologiczny



Z Nowym Rokiem, nowym krokiem...?

Skończył się rok 2023, rok kolejnych niszczących zmian w wojskowej służbie zdrowia, tymczasem zza zakrętu wyszło nowe, na pewno kompletnie z innej bajki i z wieloma zapowiedziami zmian. Sytuacja w naszym środowisku jest wystarczająco gorąca, by już więcej nie podkreślać tej atmosfery. Przykładów abstrakcyjnych działań było tak dużo, że właściwie musiałbym tu o niczym innym nie pisać. Zmiany objęły głównie najbardziej wartościową część nasze-

go środowiska, doświadczonych lekarzy z pewnym dorobkiem i chęcią pracy. Decyzje kadrowe jednak szybko rozwiąły ich marzenia. Odbłyło się klasycznie, nie mamy na ławce nikogo z górnej półki, do którego mamy zaufanie i oczekujemy lojalności, to damy z innej, pojawili się Komendanci szpitali z zawodu tylko żołnierze, bez dodatku lekarz. Żeby nie działa im się źle, zmieniono również Rady Społeczne placówek MON-owskich w ten sposób, że powiększono je do 7 osób, z których 4 były wskazane przez organ założycielski, patrz MON, a pozostałe faktycznie były kontrolą społeczną. Nie muszę wyjaśniać, że w przypadku jakiegokolwiek głosowania, czynnik społeczny nie miał nic do powiedzenia. Na dodatek, Przewodniczący musieli pochodzić z jedynej słusznej partii i to koniecznie w randze minimum posła lub europosła, co dla wielu widzących ostatnie dymisje dopiero teraz rzuciło się w oczy. To, co stało się z orzecznictwem wojskowym, psychologami, itd. nie wymaga extra komentarza, a jest jedynie kolejnym przykładem zła. Początek roku przyniósł nam spotkanie w Ministerstwie Obrony Narodowej, gdzie spotkaliśmy się z mini-

strem odpowiedzialnym za nasz pion, panem Cezarym Tomczykiem. Zdążyliśmy opowiedzieć co nieco, bo czasu było mało, ale mamy zapowiedź kolejnego spotkania, na które zaprosiliśmy już w nasze skromne progi. Czy będzie to prawdziwy nowy krok? Zaczekamy.

W Ministerstwie Zdrowia także zmiany, spotkanie w Naczelnej Izbie Lekarskiej z panią Ministrą Izabelą Leszczyną przyniosło masę tematów do omówienia i tylko fakt jednogodzinnego spotkania, nie pozwolił przedstawić ich wszystkich. Jest jednak zapowiedź regularnych spotkań i przyjęcie naszej deklaracji, chętnego do współpracy środowiska eksperckiego. Zacieśniła się także współpraca środowisk samorządowych zawodów medycznych, co daje nadzieję na zbudowanie wspólnego frontu w rozmowach.

I niech mędrzec Konfucjusz natchnie swą myślą ten nasz nowy krok:

„Człowiek szlachetny nie szafuje obietnicami, lecz czyni więcej niż przyrzekł.”

Wasz Prezes
ppłk rez. lek. **Artur Płachta**

Koleżanki i Koledzy

Jestem emerytowanym lekarzem wojskowym. Od lat choruję na SM postać przewlekłą postępującą.

Mam niedowład czterokończynowy, poruszam się na wózku inwalidzkim. Obecnie jedyną formą leczenia w moim przypadku jest rehabilitacja i właśnie środki zebrane przeznaczam na turnusy rehabilitacyjne, między innymi w Bornem Sulimowie.

Dziękuję za wsparcie.

Polskie Towarzystwo Stwardnienia Rozsianego Oddział w Łodzi
KRS 0000049771 z dopiskiem **Jerzy Mikołajczyk**

Serdecznie pozdrawiam
Jerzy Mikołajczyk

SKALPEL

nr 1-2/2024

WYDAWCA:

Wojskowa Izba Lekarska
02-625 Warszawa
ul. Jana Pawła Woronicza 15

e-mail:

sekretariat@wojskowa.org.pl
www.wojskowa-il.org.pl
tel. 22 621 04 93
fax 22 621 12 11

Konto WIL:

PKO BP S.A., IX O/Warszawa
50 1020 1097 0000 7802 0001 6741

Redaktor naczelny:

Jacek Woszczyk
redakcjaskalpela@gmail.com
tel. 602 702 038

Redakcja Skalpela:

redakcjaskalpela@gmail.com
skalpel@wojskowa.org.pl

Rada redakcyjna:

Artur Płachta
Stanisław Żmuda
Jerzy Aleksandrowicz
Beata Toczewska

Kolegium redakcyjne:

Jacek Woszczyk
Stefan Antosiewicz
Witold Bryl
Kazimierz Janicki
Krzysztof Kopociński

Fot. na I i IV okładce:

Jacek Woszczyk

Opracowanie graficzne, skład, łamanie i druk:

LM Promotion

www.LMPromotion.pl

Tel. 663 664 440

e-mail: biuro@LMPromotion.pl

ISSN 1230-493x

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmian redakcyjnych w nadsyłanych tekstach.

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść listów do redakcji, ogłoszeń i reklam.

Spis treści

Szpalta Prezesa	1
Nowości w programie ubezpieczeń OC dla lekarzy i lekarzy dentystów	3
Wynagradzanie młodych lekarzy wojskowych – stanowisko Rady Lekarskiej WIL.....	4
Podziękowanie za wyróżnienie dla Wojskowej Izby Lekarskiej	7
Brylanty Polskiej Gospodarki 2022 Opieki Zdrowotnej.....	8
Certyfikaty Godła Jakości	9
Podziękowania.....	10
Pamiętnik z Domku Pilota cz. 6	12
Recordatio et facetiae	16
Pole owsa, pole ryżu, pole-miki.....	22
Wspomnienie	25
ppłk dr n. med. Stanisław Stępień	25
płk prof. dr hab. med. Krzysztof Zieliński	26
Zachowajmy Ich w naszej pamięci.....	28

WOJSKOWA IZBA LEKARSKA

(www.wojskowa-il.org.pl)

Prezes RL WIL:	ppłk rez. lek. Artur Płachta	
Wiceprezesi RL WIL:	ppłk rez. lek. dent. Jacek Woszczyk ppłk rez. dr hab n. med. Mariusz Goniewicz płk rez. dr n. med. Piotr Jamrozik	
Sekretarz WIL:	płk rez. dr n. med. Stefan Antosiewicz	
Zastępca Sekretarza WIL:	płk rez. dr hab. n. med. Grzegorz Kade	
Skarbnik WIL:	ppłk lek. dent. Remigiusz Budziño	
p.o. Rzecznik Odpowiedzialności Zawodowej:	ppłk rez. lek. dent. Beata Toczewska	
Przewodniczący Sądu Lekarskiego WIL:	ppłk. rez. dr n. med. Jerzy Aleksandrowicz	
Przewodniczący Komisji Rewizyjnej:	mjr rez. lek. dent. Dariusz Myśliński	
Przewodnicząca Komisji Wyborczej:	ppłk rez. lek. dent. Marzena Mokwa-Krupowies	
BIURO WIL		
Dyrektor Biura	Edyta Klimkiewicz	tel. 22 346 25 77
Sekretariat	Danuta Foltyńska	tel. 22 621 04 93 fax 22 621 12 11
Rejestr lekarzy	Anna Mroczek	tel. 22 346 25 70
Praktyki lekarskie	Paulina Ciecierska	tel. 22 346 25 71
Kształcenie	Anna Mroczek	tel. 22 346 25 72
Biuro Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej	Katarzyna Rutkowska	tel. 22 346 25 73
Biuro Sądu Lekarskiego	Krzysztof Drewniacki	tel. 22 346 25 74
Główna księgowa	Katarzyna Kowalczyńska	tel. 22 346 25 76
Składki członkowskie	Katarzyna Seroka	tel. 22 346 25 75

Uwaga!!!

Nowości w programie ubezpieczeń OC dla lekarzy i lekarzy dentyistów

Poznaj nowe rozwiązania w programie ubezpieczeń, przygotowanym przez PZU we współpracy z Wojskową Izbą Lekarską!

Wojskowa Izba Lekarska w roku 2024 kontynuuje bezpłatną ochronę ubezpieczeniową w ramach obowiązkowego ubezpieczenia odpowiedzialności cywilnej lekarza lub dobrowolnego ubezpieczenia odpowiedzialności cywilnej (jeśli lekarz nie podlega pod ubezpieczenie obowiązkowe).

Zagwarantujemy Ci pełną ochronę podczas wykonywania zawodu, gdy może dojść do szkody związanej z udzielaniem świadczeń medycznych.

Nowością w programie jest rozszerzenie zakresu ubezpieczenia o zwrot kosztów nieprawidłowej refundacji.

Ochronę ubezpieczeniową dla swoich członków finansuje Wojskowa Izba Lekarska.

Aby przystąpić do programu, musisz tylko wypełnić deklarację (obowiązuje 1 rok, z koniecznością corocznego odnowienia) korzystając z poniższych sposobów:

- najszybciej i najprościej – na stronie ins-med.pl. Polisę potwierdzającą zawarcie umowy ubezpieczenia otrzymasz na podany adres e-mailowy;
- e-mailem – wysyłając podpisany wniosek na adres: biuro@ins-med.pl,
- telefonicznie – dzwoniąc na numer telefonu: 22 494 36 50 (opłata zgodna z taryfą operatora).

Lekarze i lekarze dentyści aktualnie objęci ochroną ubezpieczeniową otrzymają informację (mail/sms) o konieczności przedłużenia ochrony przed końcem okresu ubezpieczenia.

Nowości

- Obowiązkowe ubezpieczenie OC lekarza z rozszerzeniem zakresu ubezpieczenia o zwrot kosztów nieprawidłowej refundacji.
- Rozszerzony pakiet ubezpieczeń dobrowolnych:
- ubezpieczenie utraty dochodu,
- ubezpieczenie ochrony prawnej,
- ubezpieczenie nadwyżkowe OC lekarza z sumą gwarancyjną nawet do 6 mln zł i zakresem obejmującym szkody wyrządzone przez posiadane mienie oraz możliwością indywidualnego wyboru wyższych limitów dla kosztów nieprawidłowej refundacji,
- ubezpieczenie od następstw nieszczęśliwych wypadków (NNW) ze świadczeniami dodatkowymi z tytułu ekspozycji na ryzyko zakażenia HIV i WZW,
- ubezpieczenie turystyczne PZU Wojażer na 365 dni.

Zniżki

Każdy ubezpieczony lekarz może skorzystać ze zniżki do 20% na wybrane ubezpieczenia (m.in. majątkowe, komunikacyjne i turystyczne).

Obsługę programu prowadzi przedstawiciel PZU SA:

INS Services Sp. z o.o.

Zapraszamy do kontaktu

Wszelkie informacje o ofercie możesz uzyskać pod numerem telefonu 22 494 36 50 (opłata zgodna z taryfą operatora) oraz na stronie ins-med.pl.

Wynagradzanie młodych lekarzy wojskowych – stanowisko Rady Lekarskiej WIL

W Skalpelu 11–12/2023 prezentowaliśmy odpowiedź Departamentu WSZ na nasze pismo skierowane do Kancelarii Prezydenta w sprawie wynagradzania młodych lekarzy wojskowych oraz odpowiedź na nie Komisji Młodych Lekarzy WIL.

W tym numerze (na stronie obok) zamieszczamy odpowiedź Rady Lekarskiej WIL na pismo Departamentu.



Ubezpieczenie OC
w składce

**Nowości
w programie
ubezpieczeń
na rok 2024**





WOJSKOWA IZBA LEKARSKA

ul. Jana Pawła Woronicza 15, 02-625 Warszawa
NIP 113-19-36-487, REGON 006231150

tel. 22 621 04 93, fax. 22 621 12 11 www.wojskowa-il.org.pl, e-mail: sekretariat@wojskowa.org.pl
Konto: PKO BP S.A. IX O/Warszawa Nr 50 1020 1097 0000 7802 0001 6741

Nr WIL 684/2023

Warszawa, dnia 23 listopada 2023 r.

**DYREKTOR
DEPARTAMENTU WOJSKOWEJ SŁUŻBY ZDROWIA
MON
Pani dr Aurelia OSTROWSKA**

Do wiadomości:

**ZASTĘPCA DYREKTORA
BIURA PRAWA I USTROJU
KANCELARII PREZYDENTA RP
Pan Paweł WAWSZCZAK**

Szanowna Pani Dyrektor,

w związku z treścią pisma DWSZdr-WZZO.0501.3.23 oraz w nawiązaniu do poprzedniej korespondencji, przedstawiam stanowisko Rady Lekarskiej Wojskowej Izby Lekarskiej w przedmiotowej sprawie.

RL WIL dziękuje za przesłanie odpowiedzi na nasze wystąpienia dotyczące problemów młodych lekarzy wojskowych, wyrażając jednocześnie ubolewanie, że zajęło to 13 miesięcy i wymagało interwencji Kancelarii Prezydenta RP.

RL WIL nie może jednak przyjąć odpowiedzi jako satysfakcjonującej, co wynika z przedstawionych poniżej przesłanek.

1. Wyliczenia użyte przez Departament Wojskowej Służby Zdrowia opierają się na danych pochodzących jedynie z podmiotów leczniczych MON i nie są reprezentatywne dla całego rynku ochrony zdrowia obejmującego podmioty publiczne tworzone przez różne organy założycielskie (nie mówiąc o podmiotach prywatnych), w których to podmiotach wynagrodzenia są zdecydowanie wyższe. Maksymalne podane wartości wynagrodzenia są jednocześnie minimalnymi wg regulacji ustawowych. A przecież lekarze, którzy zdecydują się na zakończenie służby wojskowej, nie podlegają jakimkolwiek ograniczeniom, gdy chodzi o wybór nowego pracodawcy. Fakty te sprawiają, że wspomnianą „porównywalność płac” należy ocenić jako nie odpowiadającą rzeczywistości.

2. Przytoczony w piśmie przykład uposażeń studentów-podchorążych nie wiąże się z problemem podniesionym przez WIL i dotyczy osób studiujących obecnie nie zaś młodych lekarzy - specjalistów, których uposażenia jako podchorążych były zdecydowanie niższe.

3. Lekarze wojskowi otrzymują rzecz jasna dodatkowe wynagrodzenie podczas szkolenia specjalizacyjnego, co wynika z przepisów zawartych w ustawie o zawodach lekarza i dentysty i dotyczy wszystkich lekarzy realizujących specjalizację w trybie umowy cywilno-prawnej (w przypadku lekarzy będących żołnierzami ma to więc zastosowanie wyłącznie do osób odbywających specjalizację poza macierzystą jednostką wojskową, natomiast nie obejmuje

lekarzy pełniących służbę i jednocześnie specjalizujących się w szpitalach wojskowych). Jednak wspomniane dodatkowe wynagrodzenie nie przysługuje po ukończeniu szkolenia specjalizacyjnego, co powoduje paradoksalną sytuację, w której łączne uposażenie lekarza po uzyskanej specjalizacji może być niższe niż podczas jej odbywania. Informacje posiadane przez WIL potwierdzają, że takie sytuacje mają miejsce w praktyce.

4. W odpowiedzi pominięto całkowicie konieczność realizacji przez lekarzy wojskowych zadań wynikających z pełnionej służby, które wymagają szczególnej dyspozycyjności, wpływają na życie osobiste, ograniczają spektrum wyboru podejmowanych specjalizacji jak również możliwości dodatkowego zarabkowania. Nawet gdyby przyjąć, że wynagrodzenia lekarzy cywilnych i wojskowych są porównywalne, to obciążenia i ograniczenia dotyczące tych drugich nie zachęcają do kontynuacji kariery w wojsku.

O słuszności argumentacji WIL świadczą wyniki ankiety przeprowadzonej wśród młodych lekarzy wojskowych po zdaniu Państwowego Egzaminu Specjalizacyjnego lub będących na ukończeniu specjalizacji, w której wzięło 67 osób, co na tle ogólnej liczby lekarzy w SZ RP stanowi reprezentatywną grupę. W tabeli poniżej zestawiono wyniki ankiety.

1. Jaki jest Twój aktualny stopień wojskowy?	podporucznik - 1,5%
	porucznik - 20,9%
	kapitan - 55,2%
	major - 22,4%
2. Ile masz łącznie lat wysługi?	do 10 lat - 14,9%
	11-15 lat - 85,1%
3. Czy po uzyskaniu specjalizacji otrzymałeś/otrzymałaś awans?	Tak - 23,7%
	Nie - 76,3%
4. Jak zdanie PES wpłynęło na wysokość Twojego uposażenia wraz z dodatkami?	wyższe - 2,5%
	bez zmian - 75%
	niższe - 22,5%
5. Czy rozważasz obecnie zakończenie zawodowej służby wojskowej lub podjąłeś/podjęłaś już kroki w tym kierunku?	rozważam, podjąłem/am stosowne kroki - 10,5%
	rozważam, nie podjąłem/am jeszcze kroków - 76,1%
	nie rozważam odejścia ze służby - 13,4%

Badanie ankietowe będzie jeszcze kontynuowane, ale już na tym etapie jego wyniki wskazują, że podjęcie zagadnienia przez WIL było w pełni uzasadnione, a troska Izby o przyszłość kadry lekarskiej wyrażana na podstawie bardzo wyraźnych sygnałów płynących z naszego środowiska ma pokrycie w rzeczywistości. W tych okolicznościach właściwe byłoby podjęcie odpowiednich działań na rzecz zwiększenia motywacji młodych lekarzy – specjalistów do kontynuacji zawodowej służby wojskowej.

Z wyrazami szacunku

SEKREJARZ
RADY LEKARSKIEJ
WOJSKOWEJ IZBY LEKARSKIEJ
ptk rez. dr n. med. Stefan ANTOSIEWICZ

WICEPREZES
RADY LEKARSKIEJ
WOJSKOWEJ IZBY LEKARSKIEJ
ppłk rez. lek. dent. Jacek WOSZCZYK

Podziękowanie za wyróżnienie dla Wojskowej Izby Lekarskiej

Polskie Towarzystwo Medycyny i Techniki Hiperbarycznej jest interdyscyplinarnym, dobrowolnym, samorządnym i trwałym zrzeszeniem pracowników medycyny i techniki hiperbarycznej, nurków oraz osób zainteresowanych nurkowaniem i hiperbarią.

W obszarze zainteresowania Towarzystwa są także problemy wojskowej medycyny morskiej, zabezpieczenia medycznego i technicznego wykonywania zadań podwodnych w Siłach Zbrojnych RP.

Towarzystwo zajmuje, się również problematyką szkolenia wyposażenia nurków i szeroko pojętej techniki związanej eksploracją świata podwodnego.

Powstało ono 11 grudnia 1998 roku i prowadzi swoją działalność do chwili obecnej organizując coroczne konferencje naukowe, oraz wydając od 2024 roku kwartalnik Polish Hyperbaric Research zawierający artykuły naukowe na tematy związane z me-

dycyną i technologią hiperbaryczną. Czasopismo wydawane jest również w języku angielskim i znajduje się na liście Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, jest publikacją 100-punktową. W bazie Index Copernicus pismo uzyskało 99,45 pkt (ICV 2019).

Na uroczystej Konferencji zorganizowanej z okazji 25-lecia powstania Polskiego Towarzystwa Medycyny i Techniki Hiperbarycznej wśród wyróżnionych i uhonorowanych okolicznościowym dyplomem znalazła się także Wojskowa Izba Lekarska, która od lat wspiera inicjatywy Stowarzyszenia.

Gratulujemy jubileuszu, serdecznie dziękujemy za wyróżnienie i życzymy dalszych owocnych lat pracy i rozwoju.

Rada Lekarska
Wojskowej Izby Lekarskiej



Brylanty Polskiej Gospodarki 2022 Opieki Zdrowotnej

10. Wojskowemu Szpitalowi Klinicznemu z Polikliniką SPZOZ w Bydgoszczy została przyznana nagroda „Brylant Polskiej Gospodarki 2022” w kategorii Opieka Zdrowotna na podstawie analizy opartej o wybrane dane za lata 2019–2020 z Krajowego Rejestru Sądowego.

Konkurs Brylanty Polskiej Gospodarki prowadzony jest przez Instytut Europejskiego Biznesu od 2008 r., który przez siedemnaście lat dokładnie przeanalizował wyniki finansowe 200 tysięcy przedsiębiorstw.

Do analizy wyników finansowych przedsiębiorstw przyjęto firmy spełniające następujące warunki:

- dostępne w KRS dane finansowe za lata 2019–2020
- wartość przychodów netto ze sprzedaży i zrównanych z nimi większa niż 100 tys. zł w 2020 roku
- zysk netto w latach 2019 i 2020 wyższy niż 1 tys. zł
- kapitał własny w latach 2019 i 2020 wyższy niż 1 tys. zł.

Jeżeli oszacowana wartość rynkowa wyniosła w marcu 2021 r. więcej niż 10 mln zł, przedsiębiorstwo uzyskało tytuł Brylant Polskiej Gospodarki 2022. Nasza placówka znalazła się na 51. miejscu



w swojej kategorii z 902. podmiotów spełniających kryteria do uzyskania wyróżnienia. Wartość rynkowa szpitala w marcu 2021 roku wyniosła 125 mln złotych.

Kinga Chabowska

Zdjęcia st. chor. sztab. **Marcin Walczak**



Certyfikaty Godła Jakości

Mam przyjemność poinformować, iż 10. Wojсковemu Szpitalowi Klinicznemu z Polikliniką SPZOZ w Bydgoszczy, Zakładowi Analityki Lekarskiej oraz Poliklinice zostały przyznane Certyfikaty potwierdzające uzyskanie Godła Jakości w IX edycji Ogólnopolskiego Konkursu „Wysoka Jakość w Ochronie Zdrowia”, którego Organizatorem Konkursu jest Quality Institute.

Nagrody przyznawane są przez Komisję w oparciu o Regulamin Konkursu podmiotom z sektora ochrony zdrowia oraz pokrewnym, na podstawie punktów za spełnione kryteria jakościowe. Oceniane były m.in. dokonania z ostatnich 3 lat, wprowadzone innowacje, odbyte szkolenia oraz założenia na najbliższe lata. Laureaci wyróżniają się przede wszystkim nowoczesnym modelem zarządzania, osiągnięciami rozwojowymi, efektywnymi działaniami w zakresie budowania kultury jakości oraz skutecznym tworzeniem dobrych relacji i umiejętnością ich utrzymania.

Ponadto Poliklinika 10. WSzKzP otrzymała także Certyfikat Nadzwyczajny „Grand Quality”, przyznawany jednostce z największą liczbą punktów wśród wszystkich podmiotów certyfikowanych w IX edycji Konkursu, co poświadcza szczególnie istotne osiągnięcia rozwojowe w swojej kategorii konkursowej.

Zakład Analityki Lekarskiej otrzymał najwyższe oceny w Programach Zewnętrznej Oceny Jakości w Diagnostyce Laboratoryjnej roku oraz Ogólnopolskich Sprawdzianach Wiarygodności Badań Mikrobiologicznych za 2023 rok. Z pozytywnymi wynikami uczestniczy również w międzynarodowych programach porównań międzynarodowych i programach biegłości (m.in. BIORAD, Labquality, RIQAS, EARS-Net), czego dowodem są uzyskane certyfikaty.

Autor: **Kinga Chabowska**
Zdjęcia st. chor. sztab. **Marcin Walczak**



Podziękowania

Pragnę serdecznie podziękować Panu doktorowi **Adamowi Miecznikowi** za profesjonalną opiekę i wsparcie w trudnych dla mnie chwilach.

Pan doktor jest nie tylko ekspertem w zakresie swojej specjalizacji rehabilitacji medycznej, która pozwoliła mi na poprawę mojej mobilności, ale również osobą o wielkim sercu. Podejście Pana doktora do pacjentów jest iście wyjątkowe, oparte na szczerym zainteresowaniu i trosce – co również przełożyło się na mój szybszy powrót do zdrowia.

Wspólnie z rodziną i przy uprzejmości redakcji biuletynu „Skalpel”, pragniemy złożyć Panu doktorowi najszczerze wyrazy uznania, wdzięczności i życzeń wszelkiej pomyślności – zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym.

Dziękujemy!

Zofia Szymańska z rodziną



Łódź 27.09.2023r

^{402205 10 10 2023-10-03}
Piotr Dziamara
92-511 Łódź
ul. Majkowskiego 5/63

Prezes
Wojskowej Izby Lekarskiej



Podziękowanie

Chciałbym serdecznie
podziękować Panu Doktorowi
Adamowi Miecznikowi za
profesjonalne i pełne zaangażowania
podjęcie do pacjenta, kompetentne
ustalenie rehabilitacji a także
a może przede wszystkim
za cierpliwość i empatię.

Piotr Dziamara

Pamiętnik z Domku Pilota cz. 6



Kiedy 3 września 2023 roku odwiedziłem Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie, już po wejściu do pierwszego hangaru, moją uwagę zwróciły dwa manekiny o kształtach Catherine, a może i Audrey Hepburn (jak kto woli), przyodżiane w ślubne suknie. Ich obecność, jak i same kreacje, wykonane z naturalnego jedwabiu, nie były w tym miejscu przypadkowe.

W czasie II wojny światowej jedwab należał bowiem do materiałów strategicznych, z którego wyrabiano czasze spadochronowe, toteż jego zapasy prawie w całości przejęła armia. A były to potrzeby niemałe¹.

Ta jedwabna opowieść zaczyna się latem w pierwszym roku mojej bytności na stanowisku lekarza eskadry JW 4557, kiedy to plany lotów, jak zawsze o tej porze roku, były rozgrzane do czerwoności. Pewnego dnia, przy idealnych warunkach pogodowych, nad Siemirowicami zaległa cisza. Przerywał ją jedynie warkot silnika pojedynczego AN-2 TD, wykonującego „oblot pogody” nad lotniskiem, które miało być poligonem dla pilotów. Oto zaczynał się nasz doroczny „konkurs” skoków ze spadochronem, w którym na nic zdawały się zwolnienia lekarskie. W latach 80-tych każdy pilot w mojej jednostce musiał w ciągu całej swojej kariery lotniczej wykonać dziesięć takich skoków, z czego trzy lub cztery zaliczał jeszcze jako podchorążych w Dęblinie. Wielu zapewne wołałoby mieć to za sobą jak najszybciej i najlepiej za młodu, kiedy to wyobrażenia poparta skromnym doświadczeniem, nie jest jeszcze tak bogata. Niestety, ta „przyjemność” była im dozowana jedynie co jakiś czas, z istic aptekarską skrupulatnością i regularnością. Podobnie jak okresowe ćwiczenia z katapultowania, skoki ze spadochronem miały na celu podtrzymanie umiejętności bezpiecznego opuszczania samolotu w sytuacjach awaryjnych. O tym, co robić już po wylądowaniu np. na terytorium wroga, informo-



Ślubne stroje w Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie (materiał autora)

wała inna instrukcja, której treść pominę, gdyż w czasach mojej służby była dostępna wyłącznie w Kancelarii Tajnej. Tak czy inaczej, już rzymski poeta Katullus trafnie opisał tych, dla których latanie to nie tylko zawód, ale i miłość.

„Nienawidzę i kocham. Dlaczego to robię, być może zapytasz.

Nie wiem, ale czuję, że to się dzieje i jestem torturowany.”²

To, co dla pilotów stanowiło kwintesencję „być albo nie być”, dla mnie było jedynie ciekawostką. Skoki ze spadochronem są bowiem zawsze fascynującym widowiskiem z dreszczykiem emocji nawet dla biernego obserwatora. A ja właśnie miałem niepowtarzalną okazję, bycia w samym centrum wydarzeń. Pchany zarówno obowiązkiem, jakim była moja obecność w ramach zabezpieczenia medycznego skoków, jak i ciekawością, postanowiłem zobaczyć, jak od kuchni wyglądała organizacja tego przedsięwzięcia. Bez żalu opuściłem zatem mój służbowy przybytek w Domku Pilota.

¹ Produkowany w II RP od 1928 rok na licencji amerykańskiej spadochron z uprzężą systemu „Irvin” – nazywany Polski Irvin kosztował w 1938 roku 1440 zł/szt.! Czasze wszystkich spadochronów miały obrys okrągły i uszyte były z łączonego w pasy jedwabiu. Spadochron plecowy miał powierzchnię 57 m², a zapasowy, piersiowy 35 m², natomiast siedzeniowy (pilota) 42 m².

² „Odi et amo. Quare id faciam fortasse requiris. Nescio, sed fieri sentio et excrucior”.

Po krótkim oczekiwaniu, wraz z innymi pilotami, udałem się do samolotu, z którego miały odbywać się skoki. Dopiero co zajęła mała laweta z pierwszą partią spadochronów. Piloci po kolei podchodzili i odbierali je od marynarzy, którzy pomagali w ich nałożeniu. Chwilę później wszyscy stali już w jako takim szeregu, jak przystało na tych indywidualistów w mundurach. Jeszcze tylko krótki instruktarz na wypadek gdyby..., po czym wszyscy nieśpiesznie zaczęli ładować się do samolotu. Stojąc nieopodal drzwi, przyglądałem się każdemu z wchodzących na pokład naszego AN-tka. Kolejkę zamykał instruktor, który będąc już jedną nogą w środku, odwrócił głowę w moim kierunku.

– Doktor! To jak, lecisze z nami?

– A są wolne miejsca? – odpowiedziałem trochę zaskoczony samym pytaniem.

W tym momencie, stojący już w drzwiach instruktor, w teatralnym geście zajął jeszcze raz do środka i nie odwracając głowy odpowiedział kategorycznym głosem.

– Niestety na pierwszy wylot mamy komplet, ale zapraszam w następnym.

Po tych słowach z wnętrza kabiny dobiegł mnie wesoły głos jednego z pilotów.

– Panie chorąży, to może ja odstąpię miejsce doktorowi? – pytaniu towarzyszył wybuch śmiechu z wnętrza samolotu.

– To ja może poczekam – odpowiedziałem i szybko ulotniłem się do karetki, aby zająć bezpieczniejsze miejsce obserwatora skoków. Chwilę później rozpoczęła się procedura startu z nieodłącznym ręcznym obracaniem śmigła przed odpaleniem silnika³. Po krótkim kołowaniu samolot nabierając prędkości wolno oderwał od płyty lotniska.

Preludium skoków rozpoczęło wyrzucenie próbника ze spadochronem, który pozwolił określić moment rozpoczęcia zrzutu skoczaków. Chociaż samo lotnisko wraz z infrastrukturą obejmowało prawie 150 000 m², to użyteczny obszar do lądowania był znacznie mniejszy i na dodatek otoczony zwartym kompleksem leśnym. Pozornie rozległą wolną przestrzeń dodatkowo „komplikowała” długa na 2500 m i szeroka na 60 m asfaltowo – betonowa nawierzchnia drogi startowej, zapewniająca miękkie lądowanie samolotom, lecz niekoniecznie skoczkom. Mimo to, trudno mieć do niej pretensję – stanowiła sens istnienia całej infrastruktury i naszej tu obecności.



Lotnisko Siemirówce miejsce zrzutu (domena publiczna)

³ Szok hydrauliczny silnika jest spowodowany przenikaniem wody do przestrzeni nad tłokiem silnika tłokowego tj. do komory spalania. Dzieje się tak, ponieważ w przeciwieństwie do powietrza, benzyny i oleju napędowego, jest płynem nieściśliwym. Zatem kiedy tłok zbliża się do górnego martwego punktu zaczyna ścisnąć wodę, która jako obiekt nieściśliwy, może doprowadzić do różnego stopnia uszkodzenia, a nawet do całkowitego zniszczenia silnika. W przypadku szoku hydraulicznego silnika wystarczająca jest obecność wody nawet w jednym z cylindrów silnika.

Już pierwsza próba wypadła pomyślnie – próbnik wylądował „w celu”, czyli na murawie lotniska. AN-tek, po zakreśleniu w powietrzu przepisowej „ósemki”, ponownie podszedł do strefy zrzutu. Moment opuszczenia samolotu nastąpił na wysokości ok. 800–850 m i był łatwy do uchwycenia, ponieważ skoki na tzw. „linę statyczną”, zwaną potocznie „desantową”, wiązał się z natychmiastowym otwarciem spadochronu głównego, uwolnionego z pokrowca. Po szczęśliwym wylądowaniu wszystkich skoczków, podjechałem sanitarką pod samolot, prawie jednocześnie z naszym instruktorem, który chociaż skakał jako ostatni w kolejności, był już gotowy do działania z kolejną grupą.

– To co doktor, leczysz z nami, bo jest też miejsce dla medycyny?

– Mam nadzieję, że blisko kabiny pilotów i daleko od drzwi.

– Wedle życzenia. W takim razie zakładamy spadochron.

– Przecież ja nie skaczę! – wykrzyknąłem, zaskoczony tą propozycją.

– Wiem, ale każdy, kto jest na pokładzie w trakcie skoków, musi mieć na sobie spadochron. Takie są tu zasady.

Bez zbędnych pytań wcisnąłem się w uprząż przydzielonego mi spadochronu, po czym stanąłem wspólnie z innymi pilotami do odprawy. Jako że moja osoba nie była przewidziana do desantowania, odpuszczono mi spadochron zapasowy. Mimo to, mój widok wzbudził lekkie zdziwienie. Okazało się bowiem, że instruktor, chyba dla żartu, zadysponował mi spadochron UT-15, który jest spadochronem wyczynowym.

– Doktor, to teraz krótki instruktarz odnośnie twojego sprzętu. Tu, po lewej stronie jest czerwony uchwyt wyzwalający – wyjaśniając, pokazał mi na sobie, jak go najłatwiej dosięgnąć.

– W razie problemów, spadochron powinien otworzyć się sam – podsumował.

Pozostało mi wierzyć na słowo, a potem już tylko czekać.

– Do samolotu! Doktor pierwszy! – padła komenda.

Po przekroczeniu progu siadłem na prawej burcie, po czym oparłem się o ściankę, oddzielającąabinę pasażerską – ładunkową od kabiny pilotów. Idealne miejsce do obserwacji. Nad moją głową zaczęła się lina dla samowyzwalaczy spadochronów, biegnąca w kierunku drzwi, chociaż słowo „biegnąca” jest tu nieco na wyrost, gdyż kabina ma zaledwie 4 m długości i 1.6 m szerokości. Po krótkim kołowaniu i starcie rozpoczęliśmy mozolne wznoszenie. Skoki przewidziano na linie statycznej

z wysokości 850 m, więc z tym obciążeniem lot na pułap nie zajął dużo czasu. Samolot mógł bowiem zabierać 1200–1600 kg ładunku, a nas było łącznie jedenaście osób. Czasu było na tyle dużo, że mogłem przyjrzeć się naszym młodym orłom, którzy ledwie rok temu zasilili jednostkę. Z ciekawości zmierzyłem puls siedzącemu obok. Wyszło jakieś 160'. Co za bzdura, pomyślałem i dla pewności sprawdziłem u pilota siedzącego naprzeciw mnie. Wynik podobny. A niech to, więc tak wygląda „fizjologiczna norma skoków”. Wtem zapaliła się żółta lampka i równocześnie uruchomił się donośny sygnał akustyczny. Instruktor sprawnym okiem, własnoręcznie ocenił prawidłowość połączenia każdego spadochronu z liną desantową i stanął przy drzwiach, aby nadzorować kolejność zrzutu. Po chwili zapaliło się zielone światło sygnalizacyjne i nim się obejrzałem, wszyscy piloci byli już tylko wspomnieniem. W kabinie pozostał jedynie instruktor, spoglądający w dół, czy wszystkie czasze prawidłowo „rozkwitły”.

Po chwili zwrócił się w moją stronę i dał znak ręką, abym podszedł do drzwi. Podszedłem i wychyliłem głowę, czując na twarzy pęd powietrza. Zerknąłem w dół. Wygląda dobrze, pomyślałem i po chwili wróciłem na swoje miejsce, patrząc na instruktora, który właśnie wciągnął na pokład liny, po czym zamknął drzwi. Samolot nadal się wznosił, ale już tylko dla niego. To ostatni skok, ale na swobodne otwarcie z wysokości 2500 m, na podobnym jak mój spadochronie wyczynowym UT-15. Z oddali przypominał bardziej hełmofon czołgisty, lecz umożli-



Spadochron UT-15 (źródło „Skrzydłata Polska” nr 38, 1975)

liwiał zarówno bezpieczne opadanie, jak i sterowanie, dzięki systemom klap i szczelin w czaszy. Po chwili również on zniknął za drzwiami, odprowadzany wzrokiem przez mechanika, który zamknął za nim drzwi. Pozostałem na pokładzie sam z myślami, czy następnym razem odważę się i ja na taki skok.

Od tamtych skoków minął rok. W międzyczasie, w ramach comiesięcznych przeglądów sanitarnych, byłem także kilka razy w spadochroniarni, gdzie przeszedłem indywidualne szkolenia, na których przekazano mi wiedzę co, gdzie i dlaczego to w ogóle działa. Przy okazji poznałem także zastosowanie wysokiej wieży, towarzyszącej budynkowi spadochroniarni, która okazała się być (nie) zwykłą suszarnią – miejscem, gdzie suszy się i wietrzy spadochrony. Szkolenie nie obeszło się oczywiście bez pokazu składania spadochronu. Na koniec mojego kursu wykonałem bohaterki „skok kontrolny” z imitatora kabiny samolotu, przypominającego dziecięcą zjeżdżalnię w piaskownicy, tyle że bez rampy ślizgowej. Po tym wszystkim instruktor orzekł, że jestem już gotowy.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy i ja miałem zakosztować tego dreszczyku emocji. Moi piloci pocieszali mnie, że przy pierwszym skoku człowiek jest tak ogłupiały, że po opuszczeniu samolotu nie ma czasu się bać. Dopiero zbliżająca się ziemia, uświadamia mu, że jest jeszcze coś do zrobienia. Zupełnie, jak w dowcipie, w którym facet wypada z najwyższego piętra drapacza chmur i mijając kolejne piętra mówi: Póki co nie jest źle. Podobno taki stan dezorientacji trwa podczas pierwszych trzech skoków.

Ale nie uprzedzajmy faktów, bo oto siedzę w sanitarce przed Domkiem Pilota, na drugim już w moim życiu zabezpieczeniu skoków. Tym razem także ja byłem zainteresowany decyzją meteo. Po przydługim oczekiwaniu dostaliśmy zgodę na skoki. Z całej grupy jedynie instruktor wydawał się być odrobinę zafrasowany z powodu wiatru, który nie powinien był przekraczać 7 m/s.

– To jak doktor, skaczemy?

– Ja jestem gotów – odpowiedziałem szczerze.

– Dobra, to najpierw zrobisz skoki z pilotami.

– Ja też tak myślę, bo licho nie śpi. Gdyby ktoś połamiał sobie nogi, lepiej żeby był blisko.

Kiedy pierwsza grupa ruszyła w kierunku samolotu, ustawiłem sanitarkę w najlepszym miejscu

do obserwacji przewidywanego obszaru lądowania skoczków. Wyrzucono próbnik, jednak wiatr zniósł go poza planowany obszar lądowania. Drugie podejście i próbnik wzorowo ląduje w celu. Teraz wiadomo, gdzie rozpocząć zrzut skoczków. Samolot, po wykonaniu przepisowej ósemki, ponownie podszedł do strefy zrzutu. Po chwili od samolotu odewały się sylwetki skoczków. Pierwszy w nienagannej pozycji wylądował na pasie. Jednak to nie koniec problemów pilota, który zapewne oszołomiony twardym lądowaniem na beton, nie zgasił w porę czaszy, przez co wiatr przeciągnął go jeszcze jakieś 30 m po szorstkiej asfaltowej nawierzchni pasa. Efekt – sorty mundurowe do wymiany. Drugi skoczek szczęśliwie wylądował na murawie, szybko gasząc spadochron – brawo. Dwaj kolejni dla odmiany zostali zniesieni przez wiatr i wkrótce zniknęli nam z oczu, chowając się za krawędzią lasu. O jednym dowiedzieliśmy się dość szybko – wylądował cały i zdrowy na terenie koszar, a ściślej na placu w pobliżu PKT. Jego miejsce lądowania, już z oddali wskazywała, wisząca na słupie oświetleniowym czasza spadochronu. Najdłużej trwały poszukiwania pilota lądującego w lesie. Okazało się, że ominął gąszcz drzew i szczęśliwie wylądował w szkółce leśnej o powierzchni 50×50 m, obsianej słonecznikami. Dla niego jedynym problemem okazał się płot wykonany z gęstej siatki i drutu kolczastego otaczający szkółkę leśną oraz zamknięta na kłódkę furtka. Dopelnieniem tych nieszczęść było kunsztowne lądowanie naszego instruktora na dachu hangaru. Na szczęście w tym przypadku potrzebna była jedynie interwencja straży pożarnej z drabiną.

Po tym incydencie skoki przerwano i była to moja ostatnia przygoda ze spadochroniarstwem, gdyż z początkiem zimy zostałem przeniesiony do 7. Szpitala Marynarki Wojennej, rozpoczynając moją przygodę z radiologią. Było to w czasach, kiedy obrazy CT przypominały jeszcze kiepsko rozpikselizowaną twarz świadka koronnego, a pierwsze rozpoznania kamicy pęcherzyka żółciowego w badaniu USG spotykały się z nieufnością wśród naszych chirurgów, i z prośbą o potwierdzenie rozpoznania w cholecystografii.

kmr ppor. rez. dr med. **Lesław Kolarz**
(XIX kurs)

Recordatio et facetiae

Wszystkie zapisywane przeze mnie zdarzenia sprzed lat są zawsze i jedynie tym, co pozostało w mej „dziurawej” już pamięci. Zatem w szczegółach moje zapiski mogą się różnić od tego co i jak zapamiętali na przykład moi koledzy. Opowiadane historyjki, choć bywają niekiedy nieco podkolorowane, kiedyś się wydarzyły i w swej istocie są prawdziwe.

Zawsze przy pisaniu rodzą się wątpliwości czy wypada opowiadać o przygodach kolegów, które im radości, przynajmniej wtedy, nie sprawiały. Daleki jestem od złośliwości czy wyśmiewania się z przysłów innych... po prostu tylko wspominam.

Poligon. Nadwątloną pamięcią sięgam do pierwszego w dziejach WAM obozu „kondycyjno-szkoleniowego” w okolicach Drawskiego Pomorskiego, w lipcu 1961 roku. Tak to pięknie wówczas, przynajmniej do 1965 roku, nazywano nasze coroczne „wczasy” na poligonie.

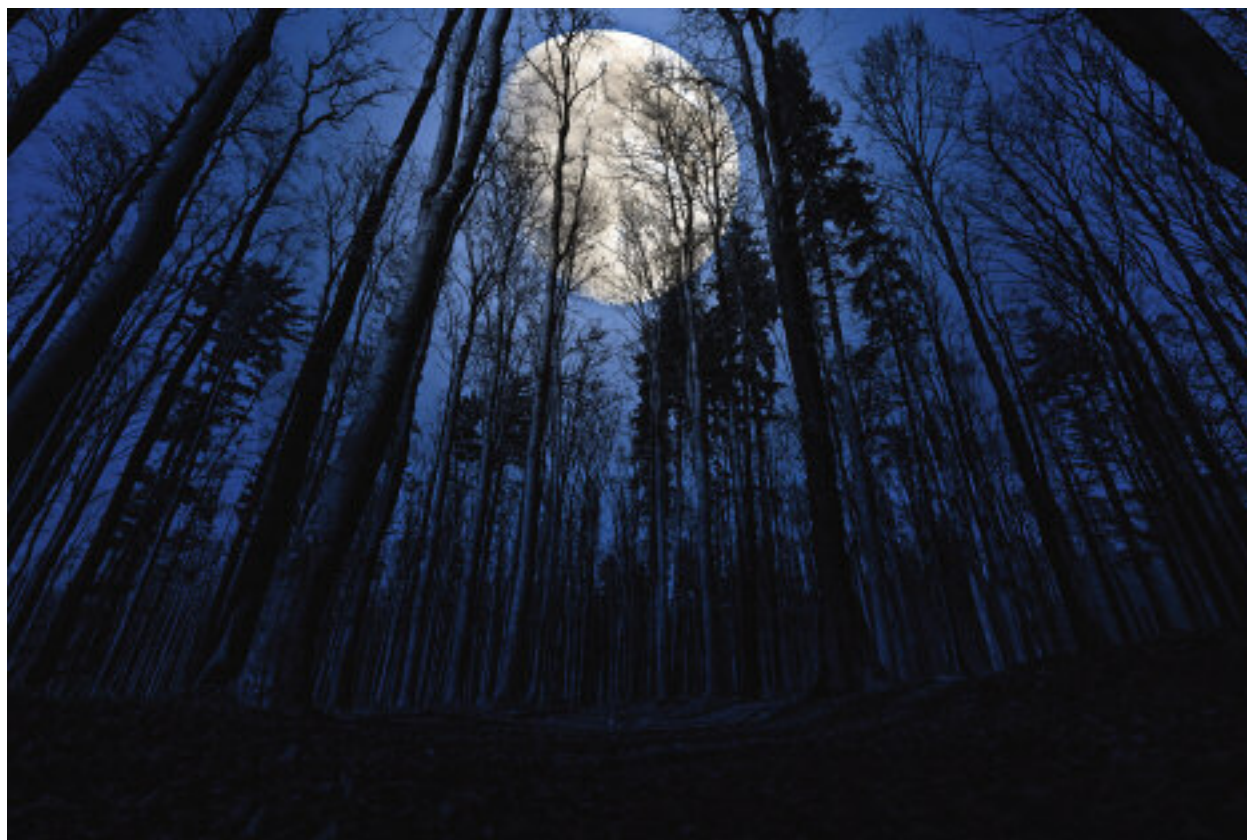
My, studenci III Kursu, właśnie byliśmy po pierwszej sesji egzaminacyjnej, po zaliczeniu pierwszego roku studiów.

Byliśmy wówczas bardzo młodzi, na ogół mieliśmy zaledwie po dziewiętnaście lat i wiele trudno-

ści potrafiliśmy pokonywać z uśmiechem, z humorem. Nic nie było nam straszne, w tym nawet jakieś tam musztry, karne czołgania w spiekocie, czy bieganie w pełnym oporządzeniu... choć bardzo często pomstowaliśmy na swych nieznośnych, złośliwych dowódców i pod ich adresem kierowaliśmy przeróżne wymyślne „życzenia”. Popołudnia i wieczory na obozie z reguły były nasze i potrafiliśmy ten czas odpowiednio, najczęściej na pełnym luzie i radośnie, „zagospodarować”.

Historia, którą chcę teraz opowiedzieć, rozegrała się późnym wieczorem pierwszego obozowego dnia. Na obrzeżach poligonu drawskiego, w lasach, w bezpiecznej odległości od „pola walki” i strzelań ostrą amunicją, rozłokowane były i zapewne są nadal, stałe obozowiska. I właśnie jedno z takich miejsc wyznaczono „działwie” naszej wspaniałej, młodej wówczas Uczelni.

Pomiędzy drzewami były miejsca na rozstawianie namiotów. W pobliżu znajdowała się stała, murowana kuchnia oraz kilka magazynów. Do kuchni przylegało skrzydło zadaszanej „stołówki” – zadaszanej, by wróg nie mógł z góry dojrzeć czym i jak



karmi nas armia. Niekiedy też była stała latryna, ale najczęściej trzeba było ją dopiero zbudować, tzn. wykopać i ogrodzić spory dół. Ponadto w pobliżu namiotów były „nowoczesne” umywalnie – to znaczy długie drewniane koryta, a nad nimi rury z kranami, z których płynęła zawsze bardzo orzeźwiająca, prawie lodowata woda. Oczywiście kąpiele były w pobliskim jeziorze, chociaż kilka razy zawieziono nas do prawdziwej łaźni poligonowej z ciepłą wodą.

Były pierwsze dni lipca. Na bocznicę kolejową poligonu nasz „eszelon” dotarł późnym popołudniem, po dwóch dniach i jednej nocy męczącej podróży. Z kilkoma kolegami pomagaliśmy szefowi roku przeładować nasz kompanijny dobytek z wagonu na samochody.

Było już ciemno, kiedy skończyliśmy tę pracę i ostatnimi ciężarówkami zabraliśmy się do obozu.

Po kilkunastu, może kilkudziesięciu minutach samochód zatrzymał się na jakimś dukcie pośród niezwykle ponurego i obcego mi lasu. W ten wieczór księżyc nie świecił, może i był, tylko złośliwie schował się za chmurami – po prostu znalazłem się w absolutnej, niemiłej ciemnicy... Ponadto koledzy, z którymi właśnie przyjechałem, nagle zniknęli mi z oczu – roztopili się gdzieś w tym nieznanym mi, w tamtej chwili odpychającym, budzącym nawet odrobinę strachu lesie. Dla pełnego obrazu grozy tej nocy brakowało mi tylko watahy wygłodniałych wilków...

Nie miałem pojęcia, który wybrać kierunek, by trafić do swoich. Uratowały mnie przytłumione odgłosy rozmów dobiegające z nieodległego namiotu – poznałem, to były głosy moich kolegów, czyli druhów z pierwszego plutonu. I tak, nasłuchując rozmawiających kolegów, potwornie zmęczony, dotarłem do swoich. Cały nasz pluton mieścił się w jednym dużym szpitalnym „hangarze”. Namioty te miały z obu szczytów małe przedsionki, posiadały ocieplające podpinkie, a także białe podpinkie szpitalne. W dużym stopniu przypominały, znane mi z harcerstwa, dwumasztowe namioty kanadyjskie z czasów II wojny światowej... te były jednak nowiutkie.

Wewnątrz nie było jeszcze prycz ani łóżek polowych – czteroosobowe prycze trafiły do namiotu dopiero po dwóch dniach. Ci, którzy już ułożyli się do snu mieli pod sobą jedynie wypchane słomą sienniki. I chociaż wyęczałem wzrok, to jednak w żadnym kącie namiotu nie dojrzałem leżących wolnych, czekających na mnie sienników.

W świetle gasnącej mi latarki („kończyła” swój żywot bateria) zobaczyłem jeden wolny, dobrze wypchany siennik. Nie namyślałem się wiele – szybko przenieśliśmy zdobyczne legowisko w oddalone

miejsce namiotu i natychmiast się na nim ułożyłem. Cisza w namiocie długo nie trwała. Nagle rozległ się wrzask, jak się za chwilę okazało... człowieka pozabawionego siennika. Traf chciał, że był to kolega Walenty Z. (imię zmienione), którego głos w wyższych rejestrach przypominał łącznie odgłos zdezelowanej piszczałki i piły tnącej żelastwo. Aż uszy bolały. Chodził z pożyczoną latarką, od jednego leżącego do drugiego, chyba z nadzieją, że potrafi rozpoznać swój siennik lub ustali twarz złoczyńcy. Wszyscy koledzy na światło latarki, kierowane prosto w oczy, jednakowo reagowali, pozdrawiając kolegę Walentego prostymi serdecznymi słowami, jednoznacznie pochodzącymi ze słownika „żargonu wojskowego”.

Słów jakich przy tym używał sam Walek nie mogę zacytować – mój wewnętrzny recenzent nie pozwala mi na to. Gdybym nawet napisał tylko pierwszą literę, a resztę liter wykropkował, to i tak brzmiałoby to zbyt brutalnie.

Po chwili, zwabiony znajomym mu głosem, wszedł do namiotu nieco spóźniony kolega Dyziu. Oczywiście od razu rozpytywał wszystkich co było powodem tego niezwykle i głośnego zamieszania. Gdy uzyskał konkretną wiadomość od W.Z. spokojnym, gojącym rany głosem, powiedział: „Walek, ja nie mam siennika, ty nie masz siennika, ja mam dobrą latarkę, a ty znasz już drogę do miejsca, gdzie są złożone te nieszczęsne sienniki – więc chodźmy razem”. Słowa te brzmiały bardzo sensownie, przekonująco, więc W.Z. łatwo przystał na tę propozycję, choć pod nosem nadal pomstował.

Wyszli, w namiocie nastała błoga cisza, a i ja totalnie zmęczony, nie mając wtedy poczucia wyrządzonej komuś krzywdy, rychło zasnąłem.

Nagle, w środku tej fatalnej nocy, głośny, piszczący krzyk, wydobywający się jakby spod ziemi, zmieszany z niesamowitym, donośnym rechotem Dyzia, postawił wszystkich na nogi. Po pewnym czasie doszedł nas także donośny głos naszego „ukochanego” dowódcy plutonu. Minęło dobrych kilka chwil, gdy jako tako mogliśmy zorientować się co też wydarzyło się w ciemnym lesie, późną nocą, niezbyt daleko od naszego namiotu.

Sienniki były składowane pod dachem obozowej stołówki. Owi dwaj koledzy wybrali sobie posłania i nieśli je ponad swymi głowami. Dyziu szedł pierwszy, bo miał latarkę zawieszoną na guziku munduru. Sienniki zwisały im i z przodu i z tyłu głowy. Szli sobie i gadali. Walek starał się iść dokładnie śladami Dyzia... W pewnym momencie, jakoś tak odruchowo, bez ostrzeżenia kolegi, Dyziu ominął dół znajdujący się tuż przy obranej ścieżce. Niestety, Walek nie mógł tego zauważyć i wpadł do sporego dołu.

Gdy Dyziu usłyszał za sobą krzyki i się odwrócił, zobaczył jedynie leżący przy ścieżce siennik, a Walentego nie było. Sekundę później usłyszał jednak charakterystyczny, przeraźliwy głos Walka dochodzący spod siennika, jakby spod ziemi.

Dyziu odsunął leżący siennik i w świetle latarki ujrzął kolegę... w dole, który przed paroma sekundami sam szczęśliwie ominął. W ocenie Dyzia była to sytuacja bardzo zabawna, wesoła. Niestety, nie była to sytuacja ani zabawna, ani wesoła dla Walentego. Wrzeszczał do Dyzia domagając się pomocy. Kiedy Dyziu dokładniej poświecił latarką zorientował się, że Walek wpadł do dołu, prawdopodobnie pozostałości po starej latrynie. Nieszczęśnik trzymał się jakiegoś pala i pełen nadziei wyciągał ku górze drugą rękę.

Prawie w tym samym momencie Dyziu, jakby na potwierdzenie do jakiego dołu wpadł Walek, poczuł niemiły zapach – jakby zapach cuchnącego bagna. W tej sytuacji nie mógł, a raczej nie chciał, podać ręki koledze w potrzebie. Ten z dołu nie tylko wzywał pomocy, ale pewnie dla podkreślenia niezwyklej sytuacji, w jakiej się znalazł, strasznie przeklinał. A las, jak to las, bezwstydnie poniosł te przekleństwa w swe głębiny... tylko po to, by po krótkiej chwili z wielokrotnionym echem, jak grzmotem, te przekleństwa nam przywrócić.

Obudził się prawie cały obóz, w tym także nasz „przemity” dowódca. Porucznik udał się więc na miejsce wydarzenia, głównie po to, by poskromić wrzaski, które wyrwały go z błogiego zapewne snu.

Dyziu zapytany przez porucznika o przyczynę wrzasków przyjął regulaminową postawę, zasalutował i z całą powagą spokojnie meldował o tym, jak podchorąży Walenty Z. wpadł do dołu. Przy tym, jak to Dyziu, ubarwiał całą historię i bardzo szczegółowo oraz powoli relacjonował cały ciąg zdarzeń, począwszy od zaginięcia siennika w namiocie. Im bardziej Walek wydierał się w dole, tym bardziej Dyziu przeciągał swą opowieść.

Doszło też, zapewne niechcący, do naruszenia dobrych manier i zasad regulaminowych przez Walka. Troskliwy dowódca zajął do dołu, poświecił latarką dla lepszej oceny sytuacji. Natychmiast też usłyszał z dołu mniej więcej takie słowa: „spier... (no, powiedzmy może – spierniczaj) durniu i nie świeć po oczach, podaj mi rękę”. Biedak nie wiedział jeszcze wtedy, że tak niegrzecznie, choć jednoznacznie, konkretnie i po żołniersku, nad wyraz zwięźle, odezwał się do dowódcy.

Przytomny Dyziu, chcąc ratować Walka za użycie zbyt niemiłych, a skierowanych do samego dowódcy słów, krzyknął: „Walek, mówił do ciebie nasz dowódca”.

A Walenty, bez żadnego zastanowienia, uważając słowa Dyzia za żart, odpowiedział w wysoce nieparlamentarny sposób. Zrobił się wielki tumult, okropny hałas i... trwało to wiele tragicznych kolejnych sekund.

Tragicznych, bo w tym samym czasie, czasie wypełnionym raczej brzydkimi słowami, Walenty – według relacji Dyzia – ponoć powoli, ale jednak, stopniowo osuwał się w głąb cuchnącego dołu.

Z racji starszeństwa, bo przecież nie z racji lepszego pomysłu, dowódca przejął inicjatywę i wydał z siebie w donośny sposób rozkaz skierowany do Dyzia: „Kowalski, wyciągnijcie go z tego dołu”! Na to bez zastanowienia i stanowczo Dyziu odpowiedział: „Panie poruczniku, nie mogę, bo Walek ma brudne ręce” (w rzeczywistości powiedział dokładnie czym ubrudzone)!

Trzeba w tym miejscu dodać, że Dyziu miał absolutną rację. Jednak jego słowa spotęgowały tylko wręcz nieludzkie krzyki, domagające się pomocy, dochodzące teraz nie tylko z dołu ale i z powierzchni, z ust samego dowódcy. Dodatkowo cały ten hałas został ponownie wzmocniony, co rusz powracającym ze wszystkich stron lasu, donośnym grzmotem echa.

Sytuacja była dosłownie wysoce dramatyczna. Mimo to słychać też było coraz głośniejszy chichot dość licznie zgromadzonych ciekawskich kibiców.

Nie pamiętam wszystkich słów, „mądrych” rad, jakie padały z różnych stron. Tylko Dyziu był przytomny i stwierdził, że trzeba znaleźć dobry kij, by podać go Walentemu i w ten jedyny możliwy sposób pomóc nieszczęśnikowi.

Ostatecznie tak się stało – Walek przy pomocy mocnej gałęzi wyciągnięto na powierzchnię, być może ratując go przed dalszym „zagłębianiem się w tej historii”.

Biedna ofiara strasznego zdarzenia pobiegła do jeziora, by tam pozbyć się tego wszystkiego, co dosyć szczerze oblepiało jego buty.

Niby nastąpiła cisza – jednak w namiocie nadal trwały głośne śmiechy, wesołe komentarze, ale także rodziły się już pierwsze słowa współczucia kierowane w stronę Walka.

Minęły może ze dwa dni, kiedy wszyscy, przed snem, domagali się od Dyzia, by „na dobranoc” opowiadał jak to Walek wpadł do dołu. Bohater zdarzenia początkowo nie był z tego zadowolony, dlatego Dyziu nie opowiadał o Walentym, lecz o „jakimś” panu Z.

Powszechnie lubiany bajarz wspaniale ubarwiał historię, zdecydowanie lepiej niż ja teraz, i zawsze nieco zmieniając szczegóły opowieść upiększał, a nawet czasami ją wyolbrzymiał – w ten sposób

prawie każdego wieczora słuchaliśmy jakby nowej opowieści... *mea culpa*...

Moja dramatyczna przygoda w Sajgonie.

Historia także prawdziwa. Nad wyraz długo zastanawiałem się, czy wspomnieć tę przygodę – co tu ukrywać, wysoce wstydliwą. Ostatecznie jednak postanowiłem wrócić pamięcią do tamtego dnia i powód wstydu wyjawić. Opisana przygoda miała miejsce w okresie 1974/1975 roku, gdy pełniłem służbę jako lekarz w Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru (ICCS) w Wietnamie Południowym. Był to końcowy okres wieloletniej i brutalnej wojny w Wietnamie. Na stałe przebywałem w Delcie Mekongu (w Can Tho). Często jednak byłem zmuszony, służbowo, latać do Sajgonu.

Otóż któregoś dnia, namawiany i zachęcany przez kolegów, postanowiłem odwiedzić prawdziwy dom publiczny w Sajgonie. Byłem bardzo ciekaw jak to wszystko wygląda; wcześniej widziałem podobne domy uciech jedynie w kinie.

W tamtych latach takich przybytków w Sajgonie było bez liku. Z zewnątrz wyglądały jak obiekty wojskowe/rządowe – od frontu domy te były osłonięte

gęstą metalową siatką ukośnie opadającą od dachu ku chodnikowi; miały przybytek zabezpieczać przed wrzuceniem do środka granatu.

Niepewnym krokiem, trochę stremowany, wszedłem do polecanej mi „świątyni rozpusztnych uciech”. Wewnątrz panował półmrok w tonacji czerwonej, do mych uszu docierały dźwięki stonowanej wietnamskiej muzyki. Miłym, zapraszającym uśmiechem przywitała mnie bardzo ładna szefowa (dlatego nie używam w tym miejscu brzydkiej nazwy określającej jej stanowisko w tej „firmie”). Nie pytała mnie po co przyszedłem, wszak moje wejście w te progi miało jeden, konkretny, z góry wiadomy cel. Zaprowadziła mnie do niewielkiego salonu z barkiem, gdzie poczęstowano mnie dobrym drinkiem. Po pewnym czasie powróciła i zapytała, która to „panienka”, a może mężatka urzekła mnie swoją urodą.

W tamtych czasach długotrwałej i wyniszczającej wojny, bardzo często widocznej biedy, prawie wszyscy starali się zarabiać lub dorabiać, także młode kobiety, w tym i zamężne.

W salonie przebywało kilka dziewcząt, prawie całkowicie w negliżu, bo swe drobne, zresztą ładne ciała, przykrywały jedynie zwiewnymi peniurami. Wyraźnie



nie dbały o to, by wstydliwie okryć swe gołe ciała – zupełnie gołe, bo u Wietnamek i wzgórki łonowe są bez jakiegokolwiek zarostu; ponoć czasem zdarzał się pojedynczy włos (oczywiście słyszałem o tym wyłącznie od kolegów). W ich oczach nie było widać jakiegokolwiek pożądania, może jedynie potrzebę skasowania kilku dolarów... Wybrałem dziewczynę... jakby mniej wyzywającą. Po kilku dalszych minutach poszliśmy na piętro, do jednego z bardziej oddalonych pokoi. Pokój jak pokój, trochę zwykły, chociaż utrzymany także w barwach czerwieni... tutaj także dochodziły mych uszu przyciszone dźwięki wietnamskiej melodii...

Nawet fajnie, uroczo, gdyby nie to, że w pewnym momencie zgasło światło. Uznałem to jednak za rzecz mało istotną, a nawet i zrozumiałą w czasie wojny. Dziewczyna zapaliła małą świeczuszkę – wielkość świeczki mówiła, że elektryczność często stąd „odpływała”. I chociaż ogarek nieco oświetlał pokój, panienka przepraszając, udała się po większą, jak mówiła, świeczkę.

Kiedy minęło trochę więcej czasu niż trzeba na tę czynność (przyniesienia świeczki), nieco się zaniepokoiłem. Podeszedłem do drzwi – niestety, drzwi były zaryglowane. W tej samej chwili przypomniałem sobie jak ktoś, kiedyś, z przestrogą opowiadał nam, że ponoć zdarzało się, iż nie każdy gość wychodził z takiego przybytku... Bo żywy dawał jedynie kilka lub najwyżej kilkanaście dolarów, po martwym zostawał cały jego portfel...

Podeszedłem do okna, rozsunąłem ciężkie zasłony i... trafiłem na litą ścianę! To odkrycie nie było już wesołe, nie było mi do śmiechu, sytuacja stawała się po prostu wysoce niebezpieczna, wręcz tragiczna. Ogarek się kończył. Zająrzałem do stojącej z boku ładnej chińskiej szafy – pusta. Coś mnie tknęło, by spojrzeć pod łóżko... struchlałem... leżało tam ciało martwego, rosnącego mężczyzny, białego.

Przez chwilę pomyślałem, że wszedłem, a raczej wprowadzono mnie do niewłaściwego pokoju... Nie było co dalej rozmyślać, miałem świadomość, że być może niewiele pozostało mi żywota – podjąłem więc rozpaczliwą próbę wydostania się z niecodziennej opresji. Obawiałem się, że mój los może być taki sam, jak nieszczęśnika pod łóżkiem. Nie miałem wyjścia... w pośpiechu wytargałem ciężkie zwłoki sporego faceta spod tego wyrka i starannie, w nieco niedbałej pozie, ułożyłem je na łóżku. Równie starannie, aż pod szyję, przykryłem nieboszczyka prześcieradłem. Przy przenoszeniu ciała zauważyłem, że jego klatka piersiowa była podziurawiona ostrym przedmiotem. Bez zastanawiania, celowo, ocierając się o pierś nieboszczyka wymazałem krwią swoją koszulę i z duszą na ramieniu wsunąłem się pod to fatalne łóżko. Wcześniej, chcąc

uniknąć „pośmiertnego” przeszukania kieszeni spodni, ułożyłem na stoliku swój portfel i zegarek.

W międzyczasie ogarek ostatecznie zgasł... Nie miałem wątpliwości, że za kilka minut ponownie rozegra się w tym pokoju coś strasznego i jednocześnie obrzydliwego. I chociaż śmiertelnie się bałem, postanowiłem walczyć. W napięciu czekałem dalszych wydarzeń. Byłem przy tym w pełni świadom bardzo niebezpiecznej sytuacji. Nie miałem pewności czy mój fortel zdoła mnie ocalić. Zrozumiałem też dlaczego wcześniej, „na dzień dobry”, podano mi zapewne „wzbogaconego” drinka. Na swoje szczęście nie wypilem kielicha. Z emocji ograniczyłem się jedynie do umoczenia ust. Nie miałem już żadnych wątpliwości, że wzmocniony drink był serwowany, by wybrany klient zapadł w głęboki sen... Ale dlaczego trafiło to na mnie?

Po upływie nieznośnie długiego oczekiwania, w drzwiach cicho zachrobotał zamek. Do pokoju wpadła wąska struga światła. Dojrzałem kilka par nóg, w tym chyba dwie pary męskich. Półgłosem coś mamrotali po wietnamsku i... rzucili się na łóżko... ktoś z tych bandziorów dźgał nożem ułożone na łóżku zwłoki. Wyraźnie się spieszyli – nie upłynęło wiele sekund, kiedy zgarnęli ze stolika moje „skarby” i wybiegli z pokoju.

Serce waliło mi jak młot kowalski – na tyle głośno, że bałem się, by ktoś tego nie usłyszał... Odczekałem kilka kolejnych chwil, a kiedy umilkły na korytarzu i schodach kroki i rozmowy morderców wygramoliłem się spod łóżka. Dojrzałem tylko, w świetle dochodzącym z korytarza, ciało „powtórnie zamordowanego” białego faceta – nie był to miły widok. Tak mogłem... tak i ja miałem wyglądać...

Było dla mnie rzeczą oczywistą, że do skutecznej ucieczki jest jeszcze daleko. Przy tym nie miałem pojęcia co może mnie jeszcze spotkać, w trakcie ucieczki z tej krwawej pułapki. Złapałem więc pozostawione na łóżku przez morderców zakrwawione narzędzie zbrodni i ostrożnie wyrzuciłem na korytarz. Nikogo nie zauważyłem, nikogo nie słyszałem.

Mogłem pobiec w stronę schodów, którymi tutaj wszedłem. Dojrzałem jednak w drugim nieodległym końcu korytarza inne schody. Wybrałem te drugie. Dzierżąc w ręce spory sztylet, skradając się ostrożnie na palcach, dotarłem do schodów, którymi powoli zszedłem na parter.

Trafiłem na drzwi – nie były zablokowane. Ostrożnie je uchyliłem i wyszedłem na małe podwórko. Niestety, od wolności odgradzał mnie dosyć wysoki mur. Wyboru nie było – albo wdrapię się na ten mur, albo wrócę do środka, albo też będę czekał na tym podwórku na... Byłem zdesperowany i gotowy na wszystko.

Sam sobie nie wierzyłem, kiedy rękami dostałem

korony muru. W chwili kiedy przekładałem nogę nad tym murem na podwórko wpadł uzbrojony Wietnamczyk. W moim kierunku poleciało kilka kul pistoletowych; szczęśliwie żaden pocisk mnie nawet nie zadrapał.

Spadłem poza ogrodzenie... nagle poczułem dotkliwy ból w lewej ręce; ból był na tyle silny, że mnie... obudził!!!

Kiedy spadłem ze swego łóżka, w swoim mieszkaniu w Can Tho i ręką zahaczyłem o łapkę na gryzonię – palce znalazły się w masywnym potrzasku.

Wtedy, nadal jeszcze przerażony i od kilku sekund również obolały... dojrzałem pod swym łóżkiem dużego, syczącego gada. Miałem spore szczęście – gwałtowne przebudzenie z wielce dramatycznego snu z pewnością uchroniło mnie przed pokąsaniem przez sporą żmiją, których w porze suchej w Deltie Mekongu nie brakowało. Mimo woli rzuciłem też okiem na stolik – portfel i zegarek były na swoim miejscu. OK. Pozostała mi już tylko rozprawa ze żmiją.

Cała ta przygoda – i ta we śnie i ta na jawie – wyleczyła mnie z pokus odwiedzenia „domu uciech”, a także zmusiła do uszczelnienia drzwi wejściowych do mego baraku.

Facetiae. Tamtej środy, a może to był piątek, tak sobie polegując, błądziłem myślami po tajemnych zakamarkach swej dosyć bogatej w wydarzenia, lecz niestety już odległej przeszłości. Wspominać to na ogół piękna rzecz. Jaki to człowiek był wspaniały, jakich dokonywał pięknych rzeczy, jakich dopuszczał się bezceństw... oj, może nie zupełnie byłem taki wspaniały...

Ale nie o tym chciałem.

W pewnym momencie dotarło do mnie, że kiedyś poznane pewne prawa fizyki są absolutnie zasadne, że teraz przez własne doświadczenie lepiej je rozumiem, że ich istotę wyraźnie nawet odczuwam. Mam na myśli prawa grawitacji, prawa magnetyzmu ziemskiego...

Otóż od dłuższego czasu obserwuję u siebie, że górne partie ciała – tak mniej więcej od pasa w kierunku głowy – ochoczo i bezwstydnie poddają się grawitacji i magnetycznemu przyciąganiu ziemskiemu. Po prostu w sposób nie poddający się kontroli ten spory kawał tułowia wraz z głową pochyla się do przodu, a raczej ku dołowi, ku ziemi.

I ciekawe jest to, że w pamięci są coraz większe dziury, a mimo to głowa staje się coraz cięższa (!?). Pomijam już taki niemiły kłopot jak podniesienie się z pozycji leżącej, a nawet z siedzącej – ależ silny jest ten magnes ukryty w ziemi!

Zaczynam podejrzewać, że problemy klimatyczne nie są wynikiem „karbonizacji” (jakie piękne słowo!), lecz poważnymi zaburzeniami magnetycznymi ziemi.

No bo niby dlaczego coraz trudniej jest mi odrywać stopy od ziemi, gdy chcę przejść kilka kroków po płaskim podłożu, a co dopiero gdy mam potrzebę pokonać kilka stopni z garażu do mieszkania. A kiedyś, gdy magnetyzm ziemski był wyraźnie słabszy, to przecież mogłem niezbyt obfitą dziewczynę wnosić do domu na rękach, niezależnie od ilości pięter do pokonania. Zauważyłem też, że te nasilone siły magnetyczne (grawitacyjne), pomimo mej od lat stałej wagi, szczególnie są odczuwalne przy podnoszeniu się z klęczek. A już podnieść się z pozycji kucznej, to dopiero nadzwyczajny wy czyn – ale to akurat rozumiem, bo w przysiadzie większą powierzchnią ciała zbliżamy się do magnesów ukrytych/zainstalowanych w ziemi...

Supplementum. Z rozmów prowadzonych z moimi rówieśnikami jednoznacznie wynika, że całkowicie zgadzają się z moimi spostrzeżeniami. Ale zwrócili mi też uwagę, że latem, mimo „ciepłych” wskazań na zaokiennych termometrach, często odczuwają chłód, zimno. I gdy inni rozbierają się prawie ze wszystkiego co na sobie mają, oni muszą zakładać cieplejszą koszulę. Przyznaję – mają absolutną rację, bo i ja też często muszę tak robić. A jeden z nich to z całym przekonaniem nawet twierdzi, że to za sprawą ponoć rozsiewanych (przez kosmitów?) „ujemnych kalorii”... czyż może tak być?

Natomiast, gdy o tych samych odkryciach z zakresu wiedzy matematyczno-fizycznej opowiadałem młodszemu koledze, tenże brutalnie przerwał me wywody i bardzo niegrzecznie powiedział: „po prostu, zwyczajnie, staliście się starymi prykami”.

Oburzające – co za prostackie potraktowanie nowych spostrzeżeń z zakresu praw fizyki – fizyki od wieków przecież uznawanej za jedną z podstawowych i pięknych nauk!

Zatem wolę już powrócić do swych wspomnień... to były zdecydowanie lepsze czasy, byłem młody, zdrowy, a nawet na tyle silny, że grawitacja, czy też ujemne kalorie, nie dawały mi znać o sobie, nie były przeze mnie odczuwalne. Pomagały mi jedynie na chłodno (ujemne kalorie!!), twardo i na ogół roztropnie stąpać w tej ziemskiej wędrówce... dzisiaj wydaje mi się nawet, że pojmuję dokąd...

Bogdan Kazimierz Sleboda
III Kurs WAM

Pole owsa, pole ryżu, pole-miki

Ostatni, 11–12/2023 numer „Skalpela” jakiś taki rozdokazywany, czytelnicy rozochoceni, głosów wiele, wiele za i wiele przeciw, czyżby plamy na słońcu, a może plamy na honorze?

Układałam sobie w mojej starej głowie przeróżne problemy poruszane, jak i jeszcze zatajone, żeby nie stracić wątku i, przy okazji, nie wyjść na jelenia, bo emerytowi wojskowemu blamaż mógłby nie wyjść na dobre, mimo, że jest już pod ochroną i nawet „Skalpel”, chociaż coraz rzadziej, ale przychodzi do niego „za friko”, chociaż jeszcze nie we fraku. Co do fraka, to proszę pamiętać, że „frak leży na mężczyźnie dobrze dopiero w trzecim pokoleniu” i przeskoczyć tę zasadę jest dość trudno (uwaga bez związku z tekstem, ale może być przydatna dla osób bywających, lub bywających). Z Prezesem nie będę polemizował, bo Prezes swoje wie, a wie nawet to, czego wielu nawet się nie domyśla. Na szczęście nie wszyscy są skazani na próby „współpracy” z Zarządem, chociaż wynik tych prób bywa jednaki, ale Prezes musi. Najgorzej rozmawia się z osobami, które nie chcą rozmawiać. Dobrze, że jest „przy nadziei” na nowe rozdanie! Wiara czyni cuda.

Zdjęcie na okładce, wzruszające, tacy młodzi i tak ich dużo, co ich czeka w życiu i w służbie wojskowej? Szczęśliwi, pełni nadziei, życzymy im wszystkiego najlepszego!



Strona pierwsza, o Prezesie było na początku, wszystkim wesołych Świąt Bożego Narodzenia.

Strona trzecia, na zdjęciach udało mi się obejrzeć Panów Braci Kopocińskich, dotychczas znanych mi ze swoich wspaniałych książek i naszej korespondencji e-mailowej.

Są nie do przecenienia i nie do rozróżnienia, takie to prawa wspaniałych Bliźniaków!

Strona piąta, podzwonne dla „Skalpela”, a może Zmartwychwstanie?

Strony szósta, do osiemnastej, jak to dobrze, że już nie muszę zdobywać żadnej z tu wymienionych umiejętności medycznych, taki wybór, co tu wybrać?

Dowcip na temat: Dawne czasy, pobór do wojska, jeden z poborowych siedzi przy balii, do której młode wojsko obiera ziemniaki.

– Kowalski, dlaczego macie taką niezadowolona minę? – pyta sierżant.

– Panie sierżancie, proszę o zmianę zajęcia!

– Nie podoba się wam, siedzicie w cieple, pod dachem, z kolegami, robota lekka, co wam nie pasuje?

– Panie sierżancie, nie wytrzymuję tego psychicznie!

– ???

– Nie mogę, co kartofel, to decyzja!

A na poważnie, dobrze by było, aby każdy z kandydatów na studia w Kolegium w komplecie druków informacyjno – reklamowych otrzymywał wykaz specjalizacji i umiejętności medycznych potrzebnych w wojsku, wykaz, poza który nie mógłby wyjść, aby uniknąć późniejszych rozczarowań, lekarzy rzadkich specjalizacji lub umiejętności, np. foniatorów, w razie potrzeby brałoby „z cywila”, nęcąc uposażeniem „z górnej półki”, mieszkaniem w willi nad jeziorem lub nad naszym Bałtykiem. Bez jednoznacznego uświadomienia kandydatom i kandydatkom do Wojskowej Służby Zdrowia, problem lekarzy wojskowych będzie nawracał lub tlił się latami, gdy po dzisiejszych decydentach „wiatr zawieje ślady”. Przy naszym położeniu geograficznym wojsko będzie nam zawsze potrzebne z własną służbą zdrowia, jeśli będą to wojska okupacyjne, to już będzie ich kłopot. „Kto nie chce utrzymywać swojej armii, ten będzie musiał utrzymywać cudzą” – Memento, aktualne cały czas. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie!

Strona dziewiętnasta – bardzo ciekawy list Kolegi Janusza Gudajczyka z Kursu 27. Milej by było,

gdyby z taką propozycją wystąpił ktoś z absolwentów „powamowskich”, co by świadczyło o chęci kontynuowania tradycji Wojskowej Akademii Medycznej, Naszej Nieboszczki Akademii, ale widać, że nie jest to problem zaprzatający głowy naszym młodszym Kolegom, a szkoda! Ja z moim Kursem VII/VIII, w dodatku „Ciemiorków” czuję bluesa, jak się mawiało w moich czasach.

Kolejna Konferencja WAM zgromadzi niewątpliwie stałą, sporą grupę stałych wielbicieli, mnie się kojarzy z osobą założyciela Stowarzyszenia, mego Kolegi z Kursu VII, Jasia Sieczkowskiego, dość wcześniej zmarłego. Staram się skupiać na Spędach „Ciemiorków”, na które mam coraz większe problemy z dotarciem. Lata lecą!

Strona dwudziesta – Wręczanie Prawa Wykonywania Zawodu widać nie jest jakimś przełomowym wydarzeniem w życiu lekarzy wojskowych, jeśli na uroczystość nie dotarła nawet połowa podporuczników. Czyżby ginął duch w narodzie? Ja z przyjemnością obejrzałem na zdjęciu mego ostatniego Szefa, generała Stanisława Żmudę w pełnej gali mundurowej (i w okularach!).

Strona dwudziesta druga – wraz z Kolegą Stanisławem Michną z Kursu XXXVI wychyliłem zdalnie pożegnalną lampkę wina w Jego winnym (winiarskim) tasiemcu. I tak Mu się udało, bo za reklamę alkoholu niektórych celebrytów ciągną po niezależnych sądach i karzą przykładnie!

Strony dwudziesta czwarta do dwudziestej szóstej – spotkanie jubileuszowe Kursu VI, Kolegów, których pamiętam, rozpoczynali rok wcześniej ode mnie, oni uczyli mnie zasad bycia wamowcem, uczyli lokalnego *savoir-vivre*’u, bo był taki na WAM i obowiązywał, gdy pierwszy raz odwiedziłem w pokoju mego puławskiego Kolegę, Andrzeja Kurka, czułem się jak z wizytą u cici, nie było na WAM zupactwa, ale był wzajemny szacunek i „w górę i w dół”.

Z wieloma los zetknął mnie już po studiach, ale wspomnienia łódzkie pozostały. Henio Szymański, bajor przedniej klasy, z którym jeździliśmy na gapę o 15:10 do Warszawy, który odgrażał się krótko przed promocją, że gdy będzie jechał do stolicy jako oficer, to kupi sobie dwa bilety, jeden dla siebie, a drugi na miejsce obok, na którym będzie podróżowała jego czapka! Czy tak było, nie wiem, ale opowiadał Henio wspaniale! Pamiętam słowa kpt. Zagalskiego, gdy mokry poszedł ze skargą do dowódcy Kursu: „Oficerów wodu leju!”

Strona dwudziesta szósta – Spotkanie Kursu XII – ich dowódcę Kursu, płk. Tadeusza Onuszcza pamiętam jako dowódcę plutonu u „Ciemiorków” w stopniu podporucznika, chyba

bezpośrednio po swojej promocji, chłopaczek, za względu na stopień miał ksywkę „dwukropek”, spokojny, koleżeński, zabawowy.

Strona dwudziesta siódma – Łódzkie Spotkania Stomatologiczne mają swoich piewców, zamilknę!

Strona dwudziesta ósma i dziewiąta – bardzo ciekawy, a jednocześnie bardzo smutny list, pokazujący problemy wojskowej służby zdrowia widziane „z terenu”, od praktyka po różnych przejściach, których treści trudno podważać. Nasz Kolega, numeru Kursu nie podaje, ale sądząc po stopniu wojskowym zbliża się do wysługi umożliwiającej rozbrat z armią, z czego zamierza skorzystać. Polecam lekturę wiersza Andrzeja Waligórskiego (kabaret Elita) *Odejdźcie Dreptaka*, mówiący o odejściu Dreptaka na emeryturę. Wiersz genialny! Po odejściu naszego Kolegi też nic się nie stanie – zwolni się etat! Ale jego uwagi są bardzo konkretne i nie napawają optymizmem, chodzi o kondycję wojskowej służby zdrowia i jej pracowników. Na moje oko, jeszcze widzę, błędem była likwidacja odrębności i samodzielności resortowej służby zdrowia. Kasa była jeszcze Branżowa, a potem Fundusz był coraz mniej zainteresowany samodzielnością resortowej służby zdrowia, wchłonał ją, nikogo nie obchodziły specyficzne potrzeby wojska, zresztą i wojsko było coraz mniej potrzebne, gdyż „otoczeni byliśmy przez przyjaciół”, przez litość nie wymienię autora. Likwidowano jednostki, pobór, koszary były puste i niepotrzebne, izby chorych też, lekarze wojskowi tym bardziej. Lekarze nie mieli swoich pacjentów, wszyscy byli w NFZ, który tak wyśrubował normy, że żadna izba chorych nie miała szans na istnienie, nie spełniała warunków, pamiętam, jakie robiliśmy cuda, aby fikcyjnie zatrudniać u siebie (CePeLek), lekarzy z jednostek, aby mogli leczyć swoich żołnierzy w swoich jednostkach. „To się sprzeciwiało kryminalowi” jak mówił Piotr Fronczewski. Jeśli wojskowa służba zdrowia nie zostanie „wyjęta” z ogólnego systemu, to „czarno to widzę”. Konflikt między lekarzami a liniowcami jest stary jak świat. „Nie ma to jak lekarzom, nic nie robią tylko łażą”, tak mówili, do momentu, kiedy nie zachorował ktoś z ich rodziny. Wtedy zmieniała się im optyka. Tym nie ma się co przejmować! Sytuacją, która mnie zaciekawiła, zupełnie paranoidalną, jest fakt, że w dęblińskiej „Szkole orląt” loty zabezpiecza cywilne pogotowie, gdyż wygrało przetarg! Komentarz zbędny. Takich paradoksów nzebierało się sporo. Bardzo dobre efekty w zarządzaniu uzyskuje się, gdy osoba zarządzająca wie, czym zarządza. To już połowa sukcesu. Ale jeśli po okresowej zmianie władzy rządu rozpoczyna się od zemsty? Nie pozostaje nic, poza

modlitwą o zdrowie! W wielu artykułach zarzuca się lekarzom, że są materialistami, tak jak kiedyś chłopom, że są kułakami. Każdy z nas żyje za pieniądze, niewielu tylko dla pieniędzy. Powiedzenie: „Za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze lud się podli” jest ludowe, ale prawdziwe. W moim życiu wojskowym tak się ułożyło, że w moich pierwszych trzech jednostkach miałem etat majora, w pierwszej jednostce, w Gryficach na Pomorzu Zachodnim, moja wojskowa pensja była dokładnie trzy razy wyższa niż lekarza cywilnego, czego niektórzy zazdrościli. Ale o wyjeździe na miesiąc w listopadzie nad morze dowiedziałem się we czwartek, a w piątek byłem w Wicku Morskim, To się nazywa „dyspozycyjność”. I to różni te dwie grupy lekarzy. Do wizyty w szefostwie służby zdrowia WOPK nie wiedziałem, że taka miejscowość, jak Gryfice, istnieje w przyrodzie i musiałem do niej się udać i zeszły mi w niej zaledwie dwa lata. I to różni te dwie grupy lekarzy. Idąc do WAM wiedziałem o takiej możliwości, ale długo nie brałem jej na serio. Aż do momentu otrzymania rozkazu wyjazdu! Dlatego pensja lekarza wojskowego powinna być wyraźnie wyższa od lekarza cywilnego, taka pensja to cena „wolności”, „dyspozycyjności”. Dlaczego ludzie jeżdżą na Alaskę, Antarktydę? Bo jest tam zimno, ale są tam wysokie pensje.

Dlaczego nasi wojskowi jeżdżą kilka razy na misję w różne strony świata? Bo tam dobrze zarobią. Nie można wszystkim płacić jednakowo, przy różnej wymagalności. Są to prawdy znane od dawna i nie ma sensu wyważać otwartych drzwi! Można by zacząć od tego, aby ministerstwo obrony zaczęło płacić pensje oficerom lekarzom. Byłby to dobry początek, oznaka powrotu do normalności.

Strona trzydziesta i trzydziesta pierwsza – bardzo mądry i przemyślany felieton doktora Bogdana Kazimierza Ślebody z Kursu III WAM, nic dodać, czytać i starać się podążać za myślą Autora.

Strona trzydziesta druga i trzydziesta trzecia – kolejne moje „Marudzenie o Szopenie”, tym razem pod tytułem „Haratanie w gałę,” solówki „i Honor”, którego nie będę recenzował ze względu na wrodzoną skromność. Moje artykuły po napisaniu czytam po wielokroć, a wysyłam, gdy uważam, że nic dodać, nic ująć, gdy sam jestem z nich zadowolony.

Strona trzydziesta czwarta i trzydziesta piąta – zawiera pismo Dyrektora Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia do Prezesa Rady Lekarskiej WIL, pismo rzekłbym, sztabowe, trudne do czytania i zrozumienia, jak to tego typu pisma, co z niego wynika możemy zorientować na stronie następnej,

Strona trzydziesta szósta – z pisma Przewodniczącej Komisji ds. Młodych Lekarzy w odpowiedzi na pismo z MON.

Pani kapitan Maria Kurzawa, bardzo rzeczowo, konkretnie i szeroko odnosi się do problemu wynagrodzeń młodych lekarzy wojskowych, ze znajomością tematyki i specyfiki służby, a sądząc ze stopnia wojskowego i wykonywanego zawodu, widać, że wie o czym pisze. Problem jest zbyt poważny, aby można było rozwiązać go przez wymianę pism, bo to tylko administracja. Bez spotkania „twarzą w twarz” nie obejdzie się, praktycy z obu (?) stron w towarzystwie dobrych księgowych, nie zajmujących się księgowością kreatywną, oraz, co najważniejsze, ze szczerymi chęciami uporządkowania sprawy. Punktem wyjścia powinno być opłacanie oficerów lekarzy przez MON, co wiąże mocniej obie strony, dalsze kroki wyjdą w trakcie. Powinno dojść do emocjonalnego związania lekarzy ze służbą wojskową, w czym niewątpliwie pomoże uporządkowanie problemów płacowych. Według mnie sprawą bardzo istotną jest zaznajomienie się przez kandydatów do studiów wojskowych z oczekiwaniami armii, kto w wojskowej służbie zdrowia jest najpotrzebniejszy, jakie specjalizacje, jakie umiejętności. Lekarz w mundurze galowym wygląda pięknie, ale czasem też nosi mundur polowy i kamizelkę kuloodporną i nie zawsze wyjeżdża do tych ciepłych krajów, do których by chciał. To kandydaci powinni wiedzieć, zanim ten mundur założą. Nie każda psychika to wytrzyma, nie każdy do tego nadaje się, uniknie się potem rozczarowań lekarzy i strat dla armii.

Strona trzydziesta siódma – wspomnienie o ppłk. Lesławie Lipińskim. Pana Doktora nie znałem, ale był młodszy ode mnie o 7 lat!!! Ależ ten czas płynie!!!

Strona trzydziesta ósma i trzydziesta dziewiąta – też wspomnienie o Pani Profesor Zofii Krawczyk, o Pani Pułkownik w czasach, gdy kobiety rzadko służyły w wojsku. Pani Profesor miała piękną kartę bojową w Powstaniu Warszawskim, pięknie wyglądała w mundurze, urodziła się do mundurów. Moje kontakty z Nią były takie, jak smarkatego studenta, okazjonalne, ale to co się rzucało w oczy, to, że była „człowiekiem wyjątkowej dobroci, o ogromnej empatii i życzliwości”, jak napisał we wspomnieniu prof. Roman Goś.

Z kilku koleżeńskich nekrologów, Stasio Gruca, mój były Szef, człowiek wyjątkowo spokojny, przyjazny. Żał.

No i piękne zdjęcia na okładkach, zdaje się, Naczelnego.

Z tym numerem „Skalpela”, ostatnim papierowym, kończy się pewna epoka, jak będzie w nowej, zobaczymy. Ciekaw jestem, niektóre czasopisma rozstały się z drukiem już dawno. Dla mnie istotna jest możliwość „kartkowania”, czy to książki, czy to czasopiśma, już się do tego nie przekonam, nie jestem tak nowoczesny, moje pokolenie odchodzi, trzeba mieć jakieś staroświeckie nawyki, jakieś dziwactwa. No to staram się je mieć! W czytanych książkach podkreślałam (o zgrozo!) ale miękkim ołówkiem 4B, łatwym potem do usunięcia przez purystów książkowych, ale

i tak nikt „po mnie” nie czyta, ze względu na tematykę, na razie nie stanowi to problemu.

Redakcji życzę sukcesów „na nowej drodze życia”, na drodze elektronicznej, czekam na nowoczesny numer „Skalpela”.

Powodzenia!!!

Włodzimierz „Wowka” Kuźma
Kurs VIII „Ciemiorków”

M.p. 11.12.2023 r.

w Międzynarodowym Dniu Tanga

ppłk dr n. med. Stanisław Stępień

Urodził się 13.11.1945 r. w Kobielach Wielkich. Po maturze w Liceum Ogólnokształcącym w Radomsku rozpoczął w 1963 r. studia medyczne na Wydziale Lekarskim Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Ukończył je w 1969 r. uzyskując dyplom lekarza medycyny oraz promocję na pierwszy stopień oficerski podporucznika WP. Staż podyplomowy odbył w Wojskowym Szpitalu Garnizonowym w Gliwicach i trafił do jednostki wojskowej, gdzie był starszym asystentem plutonu segregacji batalionu medycznego. Stanowiło to już wstęp do specjalizowania się w anesteziologii i reanimacji. Po zdobyciu specjalizacji w anesteziologii i intensywnej terapii pracował w Zakładzie Anesteziologii Instytutu Chirurgii Szpitala Klinicznego w Łodzi. W 1981 r. obronił pracę doktorską z dziedziny anesteziologii. Był autorem i współautorem kilkunastu prac naukowych. Został również specjalistą w otolaryngologii.

Karierę naukową, niełatwą pracę zawodową łączył harmonijnie z satysfakcjonującym życiem rodzinnym. Wraz z żoną lekarką doczekali się dzieci i wnuków.

Po przejściu na emeryturę w 1991 r. odbył wiele egzotycznych podróży po morzach i oceanach świata, będąc lekarzem na statkach – przetwórcach rybołówstwa morskiego. Te podróże, a ogólnie turystyka oraz narciarstwo i kolarstwo, należały do Jego ulubionych zajęć.

Do ostatnich chwil pracował w SOR-ach, karetkach reanimacyjnych oraz prowadził własną praktykę specjalistyczną.



Wydaje się, że Staszek całe życie traktował jak swoją ulubioną grę – szachy. Wiele sytuacji umiał przewidzieć i odpowiedzieć na nie ruchem konika szachowego. Patrzył z troską na Polskę, trudne życie prostych ludzi i zły los wykluczonych.

Zmarł 31.03.2023 r., spoczywa w Bratoszowicach, woj. łódzkie.

Na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

dr n. med. **Jan Siwik**

**płk prof. dr hab. med.
Krzysztof Zieliński
(6.04.1950–1.11.2023)
Krzysiek pseudo
„Browar” kurs XI WAM**

Są Osoby, o których bez okazywania emocji mówić nie sposób.

Kiedy odejdą, Ich Postać tkwi w pamięci długo lub nawet pozostaje na zawsze.

Doctrinam ac virtutem tutissimas esse divitias. Wiedza i cnota największą w życiu wartością. To w powszechnej opinii społeczeństwa łódzkiego było mocno utrwalone i dotyczyło studentów WAM. Już egzamin wstępny nobilitował, a wiedza, którą w WAM się zdobywało warta była wysiłku większego niż na innej uczelni. Ktoś kto łatwo ją przyswajał szybko zyskiwał szacunek kolegów, a często i przełożonych, dla których priorytetem zwykle nie medyczne umiejętności stanowiły wartość. Z Krzyskiem pierwsze lata mieszkaliśmy w jednym pokoju trzyosobowym. Okazji do wymiany poglądów na codzienne powinności życia wojskowego nie brakło. Krzysiek pochodził z rodziny zasłużonej w utrwalaniu polskości na Śląsku. Ojciec Jego – profesor historii, to w nas budziło wielki szacunek, przewidywaliśmy, że Krzysztof nasz współlokator będzie inspiracją do wysiłku intelektualnego. I tak było. Krzysiek, Leszek i ja byliśmy zgodni: nie po to zgłębialiśmy funkcje aparatu Golgiego, aby teraz wysłuchiwać bezwzględnych poleceń kogoś kto o tym nie ma pojęcia. Dwa pierwsze miesiące tzw. „szkolenie unitarne” ma na celu ukształtowanie przekonania, że dyscyplina wojskowa to prawdziwa wartość, a medycyna to coś co ma wartość drugorzędną, odległą. Dowódcą naszej drużyny był Waldek – kolega podchorąży jak my. Odpowiadał za dyscyplinę. Tak jakoś się stało, że na Krzyska zwrócił uwagę. Może nie bez znaczenia była skłonność Krzysztofa do radykalnego wyrażania swoich opinii na temat prostych poleceń od przełożonego Waldka. Krzysiek pochodził z rodziny inteligentckiej humanistycznej, gdzie skłonność do dyskusowania była czymś naturalnym. Waldek z rodziny wojskowej – tu pewnie codzienne zwyczaje były inne.

Pierwszym sprawdzianem umiejętności i dyscypliny wojskowej była nauka maszerowania krokiem defiladowym. Zaangażowanie w naukę tej umiejętności w naszej grupie było bardziej niż skromne. Jednak pod czujnym okiem wyższych przełożonych nauka poszła sprawnie. Tylko Krzyska krok defiladowy bar-



dziej pasował do prezentacji w kabarecie niż w wojsku – budził powszechną wesołość obserwujących. Waldek – nasz dowódca grupy otrzymał polecenie osobiście dopilnować aby krok defiladowy Krzysztofa był równie elegancki jak pozostałych. Leżąc dookoła obserwowaliśmy jak Waldek bez powodzenia próbuje wywiązać się z otrzymanego rozkazu. Każda próba przemarszu Krzysztofa odległa była od doskonałości i w grupie wywoływała salwy śmiechu. Tylko Waldek był poważny, nie rezygnował. Wreszcie gdy się zorientował, że jesteśmy na placu ćwiczeń sami, zrezygnował z wykonania rozkazu. Potem wspólnie poszliśmy na obiad. O ile pamiętam Krzysztof umiejętności tej nie opanował i w uroczystych przemarszach w Akademii nie uczestniczył.

Epizody z życia wojskowego w życiu Krzysztofa nie wywoływały pozytywnych emocji. Łatwo było zauważyć, że ciągłe napięcie i gotowość do wykonania najdziwniejszych rozkazów nie pomagają mu przetrwać okresu szkolenia unitarnego. Ulgę w takich sytuacjach dawały wspólne biesiady z oceną najbardziej niedorzecznych rozkazów zwykle wspomagane konsumpcją piwa. Podczas takich biesiad Krzysztof chętnie prezentował werbalnie swoją wiedzę w każdej dziedzinie – tu nikt mu dorównać nie potrafił. Defekt wymowy – R w jego interpretacji było

zauważalne, a po piwie nawet nie próbował tego korygować. Szybko na to zwrócono uwagę i po którejś imprezie otrzymał pseudonim BROWAR – tak zostało przez kilka lat studiów.

Trudnych przedmiotów w trakcie studiów nie brakowało. Pierwszym była anatomia prawidłowa – tu odsiew był największy. Potem na drugim roku przyszła biochemia. Obowiązywał podręcznik pełen nazw chemicznych do zapamiętania, tak trudnych, że język bolał od głośnego powtarzania. Wielu z nas pomagało sobie w różny sposób. Ucząc się w pomieszczeniu gospodarczym, w świetlicy lub tam, gdzie głośno można było powtarzać te nazwy, często w nocy. Wtedy jeszcze z Krzysztofem mieszkaliśmy w jednym pokoju. Siedział przy stole, paląc papierosa w ciszy co kilka stron powtarzał: O k... jakie trudne, tak wspomagał przyswajanie wiedzy powszechnie używanym w wojsku niecenzuralnym słowem. Następnego dnia bez problemów zaliczył biochemię.

Zajęcia z wychowania fizycznego zwykle były lubiane, także za przyczyną instruktora mjr. Tyzlera, który mocno wyróżniał umiejętności fizyczne, a powinności dyscypliny wojskowej traktował z pełną wyrozumiałością. To podobało się wszystkim, a najbardziej podczas zajęć na basenie. Tu Krzysztof zabłysnął swoimi umiejętnościami jak nikt w Akademii. Pływanie stylem delfina należy do najtrudniejszych i wymagających dużo wysiłku. W WAM niewielu było takich, którzy tak pływali. Krzysztof pływał delfinem tak doskonale, czynił to w tak eleganckim stylu, że mjr Tyzler przy każdej okazji innym pokazywał jak się pływa.

Lata mijały. W grupie naszej nastąpiły zmiany. Nie mieszkamy już razem. Ale kontakty są nadal serdeczne. Razem aktywnie działamy w kole naukowym przy Katedrze Ochrony Radiologicznej i Toksykologii. Tu już widać, że nasze zainteresowania się różnią. Krzysztof zdaje się być w swoim żywiole. W dysku-

sjach o wpływie siarczku beta- betaprim metylowego na układ immunologiczny szczurów zadziwiał nawet szefa katedry. Był jego ulubieńcem. Ale w bezpośrednim kontakcie z pacjentem w klinice było inaczej. Żartowaliśmy, że zbierając wywiad tj. wypytując pacjenta o dolegliwości używa terminów naukowych dla chorego zupełnie niezrozumiałych.

Większość z nas już widzi, że nie poprzestanie na samym tytule lekarza medycyny. Mieliśmy rację. Studia ukończył w grupie najlepszych absolwentów. Po stażu dostał przydział jako asystent w Katedrze Patomorfologii Klinicznej WAM. Potem doktorat, habilitacja i tytuł profesora.

Od 1998 roku kieruje Katedrą Patomorfologii WAM. Liczne staże naukowe i ciągle doskonalenie zawodowe owocują członkostwem w zagranicznych i krajowych towarzystwach naukowych. Zostaje prorektorem w Wojskowej Akademii Medycznej. Po likwidacji WAM w 2002 roku kontynuuje pracę w Akademii Medycznej w Łodzi.

Jest autorem kilku książek i wielu prac naukowych. Zostaje Naczelnym Specjalistą Wojska Polskiego w dziedzinie patomorfologii. Tragiczna śmierć żony Elżbiety w 2015 roku rujnuje Jego równowagę emocjonalną. Mimo, że dalej jest aktywny naukowo, ci co Go znali wcześniej dostrzegają jak wielkim ciosem dla Niego była śmierć żony. Jak piękne, owocne w działalności naukowej było Jego życie, tak ostatnie lata trudne, pełne cierpienia, na które nie zasłużył. Krzysztof odszedł 1 listopada 2023 roku. Pozostawił po Sobie znaczący dorobek naukowy. Był Indywidualnością, którą każdy musiał zauważyć. Jego Osoba w historii Wojskowej Akademii Medycznej pozostawiła ślad, który pamiętać będzie wielu.

płk rez. dr n. med. **Grzegorz Zabielski**
kurs XI WAM



Zachowajmy Ich w naszej pamięci

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci naszego przyjaciela
Wieloletniego Kierownika Kliniki Ortopedii i Traumatologii Narządu Ruchu

płk. rez. dr. n. med. Leszka Lewczyka

Składamy z serca płynące wyrazy głębokiego współczucia
żonie Ewie, synom Tomaszowi i Marcinowi oraz całej Rodzinie

Komendant płk. dr hab. n. med. Wojciech Tański,
Kadra oraz Pracownicy
4. Wojskowego Szpitala Klinicznego Z Polikliniką SPZOZ we Wrocławiu



Śp.
lek. Elżbieta Zgnilec
26.12.1957–4.10.2023

Śp.
lek. Władysław Wroński
17.03.1940–13.10.2023

Śp.
lek. Witold Bednarski
17.04.1947–14.10.2023

Śp.
lek. Bogdan Owczarczyk
5.01.1944–10.11.2023

Śp.
dr n. med. Leszek Lewczyk
11.01.1960–4.12.2023

Śp.
dr n. med. Jan Trzcíński
1.04.1943–3.12.2023

Śp.
**dr n. med.
Włodzimierz Miniewicz**
6.09.1948–25.11.2023

Śp.
**prof. dr hab. n. med.
Krzysztof Zieliński**
6.04.1950–1.11.2023

Śp.
lek. Paweł Osemek
21.05.1975–25.12.2023



FUNDACJA VALETUDINARIA

POTRZEBNA

PILNA POMOC DLA KALINKI!



Fundacja Valetudinaria w imieniu rodziców chorej 4 letniej KALINKI zwraca się do wszystkich żołnierzy Wojska Polskiego i ludzi dobrej woli o pomoc w leczeniu dziecka wojskowego małżeństwa.

Dziewczynka cierpi na chorobę genetyczną spontanicznej mutacji genu FGFR-3 wywołującą ACHANDROPLAZJĘ. Leczenie jest możliwe poprzez podawanie unikatowego leku Voxzogo nie refundowanego przez Narodowy Fundusz Zdrowia,

Koszt rocznej kuracji wynosi **1 533 000,-PLN**

Leczenie jest konieczne przez co najmniej 10 lat. Małżeństwo chorążych wojska polskiego nie ma szans wypracować tak wielkich środków finansowych. Pomóżmy ich córce KALINCE.

Dajmy jej szansę godnego życia, a rodzicom dalej spokojnie służyć dla Ojczyzny.

**Wprowadźmy w każdym miesiącu
1 dzień bez paczki papierosów!**

**Zaoszczędzone środki - 15,-zł.
wpląćmy na rachunek bankowy:**

**SANTANDER BANK POLSKA SA O/Bydgoszcz
84 1500 1360 1213 6005 8679 0000**

Z dopiskiem: KALINKA – cele statutowe fundacji

